

BLUSZCZ

Spółecano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Hobbies

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 1 LUTEGO 1930 ROKU

NR. 5

TREŚĆ NUMERU: Jak zreformować pracę społeczną — *Lucja Mościcka*. Prawdziwi przyjaciele — *Jadwiga Krawczyńska*. Poezje: „Koniec Płaczącego Ptaka“ — *Kazimiera Hlakowiczówna*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Pustynia i jej odkrywcy — *M. H. Szpyrkówna*. W atmosferze zamglenia — l. j. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świetle i w domu. O nowej „linji“ — *Stefanja Heymanowa*. Czar kwiatów w zimie — *A. D. Z* działu hodowli drobiu — *Z. Prażmowska*. Słodkie przyjęcia popołudniowe — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Modne szczegóły i szczegółiki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jak koehano przed stu laty“ — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów.

JAK ZREFORMOWAĆ PRACĘ SPOŁECZNĄ

Człowiek nie egoista, obdarzony „dobrem sercem“, pewną tęsknotą twórczą i poczuciem przynależności do gromady ludzkiej, wyławowuje swe aspiracje i energję w pracy społecznej. Przed wojną praca ta miała przeważnie charakter oświatowy i polityczny i kryła się przed widokiem publicznym; w okresie Wielkiej Wojny, wyszedłszy na światło dzienne, nabrała mocy i pewności, ale zatrzymała swój charakter oświatowo-polityczny, ze względów zrozumiałych, gdyż celem jedynym, gwiazdą przewodnią w tej pracy była Niepodległość.

Wielka Wojna europejska ziściła gorącą tęsknotę wszystkich pracowników „dla Polski“. odpowiedziała mocnym słowem marzeniom poetów, z posiewu krwi i pracy urodziła Ojczyznę Wolną.

I oto dla ludzi dobrej woli, ludzi energii i czynu otwarły się drogi do pracy jawnej, w świetle słońca. Dziś hasłem ogólnem, myślą przewodnią we wszystkich poczynaniach społecznych jest powiększenie ogólnego dobrobytu i zdobycie choć minimum szczęścia dla wszystkich. Nie chcemy, aby na naszej ziemi panowała nędza, nie chcemy widzieć obdartych i głodnych dzieci, rozpaczonych matek, pozbawionych chleba robotników. W tym celu powstają ciągle instytucje do walki z nędzą, inicjatywie społecznej przychodzi z wydatną pomocą rząd, zakłada się przytułki, poradnie, żłobki, ochronki. Wszystko to jest zrozumiałe i konieczne, tylko że zawsze i wszędzie jest podobno jakieś „ale“.

Takie „ale“ — to filantropijny charakter naszej roboty społecznej, tworzący nie świadomych swych praw i obowiązków obywateli, ale z jednej strony

„ludzi miłosiernych“, a z drugiej — gromady żebraków. Osobiście, jeżeli widzę różnicę między „działdem“, przychodzącym w piątek, czy środę do drzwi kuchennych i monotonnym głosem zebrzącym o jałmużnę, a silnym i zdrowym człowiekiem, który z pewną (często zbyt pewną) miną puka do instytucyj społecznych o „zapomogę“, to ta różnica wychodzi na niekorzyść drugiego osobnika, bo go owa filantropja bezwzględnie demoralizuje.

Dowodów mamy mnóstwo: a więc, w ogromnej ilości wypadków, zapomogi pieniężne zaraz po otrzymaniu ich przez „potrzebujących“ grzęzną w szynku; zapomogi w postaci odzieży i prowiantów są sprzedawane, a pieniądze, otrzymane ze sprzedaży, znów idą do szynku. Osobnik, korzystający, jako bezrobotny, z zapomóg instytucyj komunalnych i społecznych, nie chce iść do pracy, „bo mu się to nie opłaca“. Kobiety-matki w wielu wypadkach przyprowadzają do instytucyj społecznych dzieci z żądaniem natychmiastowego zabrania ich do ochronki, a powodem bardzo często bywa chęć zamieszkania z jakimś mężczyzną, który dzieci wziąć nie chce, lub też zupełna obojętność dla swego potomstwa.

Bardzo dużą liczbę wypadków notują wszystkie dobroczynne instytucje, gdy osobnik, obdarzony bonem na obiad, z oburzeniem odrzuca datek, mówiąc: „ja ta z kotła jadł nie będę“. Prawie zawsze petenci niechętnie przyjmują datki w naturze, upominając się o pieniądze, a gdy się odmówi, wymyślają członkom instytucji. Nie chodzi tu już o przykrości, jakie niezasłużenie spotykają ludzi dobrej woli, idących z pomocą owej „nędzy“, ale o to, że świadomie tworzy

się zastępy próżniaków i darmozjadów, którzy z całą bezczelnością żądają od społeczeństwa, aby ich utrzymywało.

Tyle — w kwestji owych „potrzebujących“; a teraz przyjrzyjmy się drugiej grupie ludzi, tych, z których „dobrego serca“ się korzysta.

Otóż przeważnie dochody instytucyj filantropijnych powstają ze składek członkowskich, oraz dochodów niestałych, płynących z imprez i kwest publicznych. Kto więc dostarcza tych funduszków? Przeważnie, zwłaszcza w małych miasteczkach, gdzie nie ma bogatych fabrykantów i przemysłowców, pieniądze te płyną z kieszeni urzędników, t. zw. „inteligencji zawodowej“, i drobnych kupców. Zarówno pierwsi, drudzy, jak i trzeci dobrze łamią sobie głowy, jak ze swych dochodów utrzymać dom i wybrnąć z coraz więcej wzrastających długów. A więc bierze się najczęściej nadmiar pracy na barki i ze smutkiem, a często z rozpaczą stwierdza, że stan interesów jest coraz gorszy. Jest jeszcze mała grupka ludzi w Polsce, którzy dają, bo dać mogą, których nazwiska „na zachętę“ dla szarego tłumu figurują na początku list kwestarskich, a których „ofiara“ w dziesiątkach złotych jest w stosunku do ich dochodów bez porównania mniejszą od groszowej składki urzędnika.

A teraz, kto pracuje w organizacjach społecznych? Należy tu rozróżnić dwie grupy ludzi: tych, którzy „są“ w organizacji, i tych, którzy w niej pracują. „Są“ w organizacjach ludzie, którym z różnych względów być tam wypada; rola ich polega na wpłacie składek, przychodzeniu na imprezy i dawaniu pieniędzy w czasie kwest. Brać udziału czynnego w pracach organizacji najczęściej nie mogą, bo nadmiar obowiązków zawodowych na to nie pozwala, albo też dlatego, że w gruncie rzeczy, z tych czy innych przyczyn, działalność danej instytucji jest im obojętna.

Pracują w organizacjach ci (najczęściej „te“), którym zadania i cele danej instytucji odpowiadają i którzy mogą swój czas pracy tej poświęcać. A mieć dużo czasu może ten, kto zawodowo pracować nie potrzebuje, albo kto pracy zarobkowej znaleźć nie może. Jest jeszcze mała grupka tych, którzy (znów, przeważnie „które“) prócz pracy zawodowej, biorą na barki ciężar prac społecznych bezpłatnie.

We wszystkich prawie instytucjach społecznych słyszy się utyskiwanie na „brak ludzi“: ten „brak“ pochodzi stąd, że ci, mający czas i nie potrzebujący pracować zarobkowo, przeważnie traktują robotę społeczną, jako rozrywkę, i, znalazłszy coś przyjemniejszego, lub poprostu znudziwszy się, wycofują się z szeregow; druga grupa, znalazłszy pracę zarobkową, jej się oddaje; trzeciej grupie, przeciążonej nadmiernie, na długo sił nie starczy. Nie mówię tutaj o wyjątkach, o tych „filarach“, które przez szeregi lat własnym wysiłkiem podpierają całą instytucję.

Reasumując moje wywody, myślę, że:

1) błędem jest udzielanie jakichkolwiek zapomóg ludziom zdrowym i silnym, bo zwiększa się liczbę próżniaków i żebraków;

2) błędem jest wspomaganie matek, niedbających o swe potomstwo, lub traktujących macierzyństwo, jako proceder;

3) błędem jest czerpanie funduszków drogą „dobrowolnych“ składek od poszczególnych jednostek;

4) błędem jest opieranie pracy ważnej i poważnej na osobnikach, którzy przejściowo pracę tę traktują.

Czy nie słuszniej w demokratycznym państwie, gdzie dobrobyt winien być odpowiednikiem pracy, zamiast wydawania zapomóg bezrobotnym zdrowym i silnym, pieniądze te zużyć na otwarcie warsztatów pracy? zamiast udzielania zapomóg matkom, które dzieci uważają za czynnik dochodowy, zakładać więcej ochronek, żłobków, przedszkoli, gdzie dzieci będą wychowywane w dobrych warunkach?

Pracą najbardziej społeczną będzie wysiłek twórczy w opracowaniu projektów, jakie w danych warunkach powinny powstać warsztaty pracy.

Uważam też, że w ochronkach i żłobkach matki zasadniczo powinny wpłacać za utrzymanie dzieci pewną kwotę pieniędzy, aby nie zatracaly poczucia obowiązku wychowania swych maleństw i nie nabierały demoralizującego je przekonania, że społeczeństwo obowiązane jest przedewszystkiem do ponoszenia ciężarów utrzymania spłodzonych obywateli. Jeżeli matka, której przez umieszczenie dzieci w ochronce, czy żłobku ułatwia się możliwość zarobkowania, nie chce przyczynić się do utrzymania swego potomstwa, należy dzieci uważać za własność społeczeństwa i pozbawić bezwzględnie wpływów matki, wyzutej nie tylko z uczuć obywatelskich, ale nawet z instynktów przyrodzonych. Zakładanie żłobków, ochron, stacyj ratowniczych, przytułków dla starców i warsztatów pracy będzie kosztowało znacznie więcej, niż t. zw. „doraźna pomoc“, ale będzie radykalnym ratunkiem, a nie okłamywaniem sumienia społecznego, „że się robi, co może“.

Naturalnie, pieniądze na te cele nie mogą być czerpane systemem dotychczasowym, przez pukanie do „litościwych serc“. Obowiązkiem wszystkich jest praca nad zniesieniem nędzy i zbrodni i dlatego w budżetach sejmików i magistratów powinny figurować pokaźne sumy na cele społeczne, na te warsztaty pracy, przytułki i ochronki. Jedynie proporcjonalny podatek od dochodów jest racjonalną i sprawiedliwą drogą ściągania pieniędzy.

I dalej: praca społeczna, jak każda praca, powinna być wynagradzana, jeżeli nie ma być oparta na wyzysku sił ludzi dobrej woli. Zamiast honorowo i przejściowo pracujących społeczników, niech staną zawodowi pracownicy, a wyjdzie to „na zdrowie“ każdej instytucji i w poważnej mierze zmniejszy liczbę „wstydzającej się żebrac“ inteligencji.

Lucja Mościcka.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

PRAWDZIWI PRZYJACIELE

Po dziesięcioletniej działalności w Polsce żegnała nasz kraj niedawno misja angielsko - amerykańska Stowarzyszenia Przyjaciół (Society of Friends).

Jej prace muszą być w przeważnej części zaliczone na dobro pracy kobiecej: na rzecz tego wytrwałego, niezrażającego się przeszkodami, uporu niewieściego, który wyciąga ręce współczujące do obcych krain, do obcych, nic o nich nie wiedzących ludzi, by im nieść pomoc w imię idei, o której także nie wiedzą; na karb surowej, przełożonej wiary w realizację tego, co cały świat chętnie zwie utopją i marzycielstwem bez przyszłości; na rachunek tak rzadkiego poświęcenia bezinteresownego, nie żądającego ani wdzięczności, ani odpłaty w jakiejkolwiek formie, zadowolonego, że może dawać, że może tworzyć coś dobrego, że wolno mu wspierać ludzi — braci.

Miłość bliźniego i idea międzynarodowej solidarności ludów w dążeniu do powszechnego pokoju musiały, zaiste, być bardzo mocne i czyste, jeśli skłoniły



Miss Pontefract.

gromadkę Stowarzyszenia Przyjaciół do dalekich wypraw wśród toczącej się wojny — do Francji, do Chiwy azjatyckiej i do Polski, na jej wschodnie kresy, w chwili, gdy szalała tam epidemia tyfusu...

Misję „Przyjaciół” prowadził lekarz Ligi Narodów, dr. Haig. Szefem misji angielskiej była Miss Florence Barrow, w grupie ochotników, lekarek, pielęgniarek była miss Taylor, profesorka z Bristolu, była i miss Jane Pontefract, długoletnia kierowniczka akcji kulturalno-przemysłowej, i która dopiero obecnie Polskę opuściła, założywszy tu podstawy dobrobytu wśród ludności wiejskiej Wołynia i Polesia.

W roku 1920 misja Stowarzyszenia Przyjaciół, stanawszy na ziemi polskiej, zabrała się niezwłocznie do najpilniejszych prac. Z rasowym talentem, właściwym tym świetnym organizatorom, anglo-sasom, orjentującym się błyskawicznie w obcych stosunkach, rzucili amerykańanie i Anglicy swe wielkie środki na obszar niedoli ówczesnej Polski. Na przybycie repatriantów i



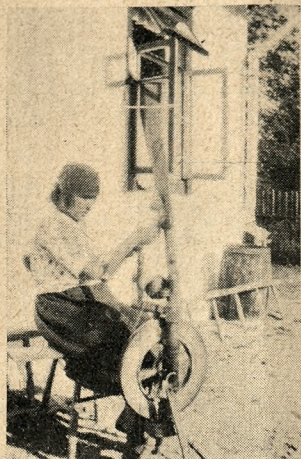
Warsztat tkacki w Horodcu.



Stara prządka.



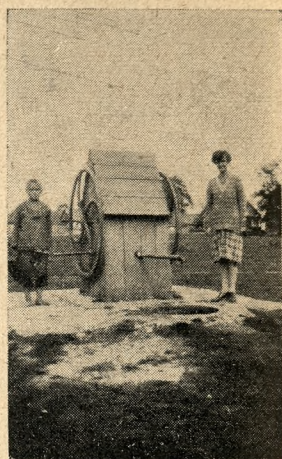
Ochronka dla dzieci w Horodcu.



Przy kolowrotku.



Dzieci z ochronki.



Studnia w Horodcu ofiarowana gminie.

uchodźców ze wschodu szły wagony za wagonami z żywnością, odzieżą, środkami leczniczymi; powstawały szpitale, punkty dożywiania dzieci i ludności, głodującej po nawale wojennej. Szybkość tej akcji była równa dyskrecji i skromności, z jaką obcy przybysze odnosili się do wypadków nędzy, niestrudzenie i własnymi rękami niosąc chleb, odzież, pieniądze.

O „Przyjaciółach” mało kto wiedział, bo tym, którym nawet najwięcej świadczyli dobrego, nie dawali tego odczuć. Dobroczynności łaskawej, upokarzającej, zgóry traktującej obdarowanego, nie znali. Przychodzili tylko, by wydobyć z każdego człowieka, z największej jego biedy siły twórcze i możliwości, tkwiące w każdej sytuacji, nie uznając, by były sytuacje beznadziejne.

Wielką lekcję tej metody dali „Przyjaciele” w odbudowie Kresów. Stanęli tam wobec pustyni. Ziemia zrównana; ani chaty, ani pola, jeno gromady nędzarzy, powraca-



Mała hafciarka z Polesia.

jących do skoszonych z powierzchni swych siedzib. „Przyjaciele” nie poprzestali na odzianiu ich i nakarmieniu, lecz zorganizowali dla nich warsztaty pracy i pomogli odbudować gospodarstwa rolne.

Nie zrobili tego za nich, lecz z nimi. Przez kilka lat tysiąc koni, zakupionych przez misję „Przyjaciół”, orało ziemię wiosną, woziło budulec jesienią. Chłop wołyński i poleski, wciągnięty do pracy aktywnej, pełnej nadziei, uprawiał rolę, budował, siał. Dostarczano mu pożyczek na ziarno, na nawozy sztuczne, na zakup inwentarza.

Włot zorjentowały się bystre angielski w talentach chłopek. Zręczne tkaczki i hafciarki kresowe dostały len i wełnę, nie zadarmo, ale jako materiał do pracy, za którą otrzymywały stałe zarobki. Misja organizowała ośrodki pracy, wciągając setki i kobiet i dziewcząt do pożytecznej i intratnej roboty. Członkinie misji, nauczywszy się kilkudziesięciu wyrazów polskich,

objeżdżały regularnie wsie, bo w tamtejszych warunkach był to jedyny możliwy sposób obsłużenia zaimprovizowanego rynku przemysłowego. Osiągnąwszy dobre rezultaty, panie z misji zorganizowały eksport polskich płócien i haftów zagranicę, głównie do Anglii. Przemysł ten tak się w ciągu kilku lat rozwinął, że np. w roku ubiegłym samych haftów poleskich i wołyńskich sprzedano zagranicę za 160.000 zł.

Widząc zbliżającą się ciemność ludu kresowego, „Przyjaciele“ pomyśleli także o oświacie. Prócz ochronek dla dziewcząt, organizowano kursy i szkoły. Obecnie, w momencie wyjazdu z Polski, Stowarzyszenie Przyjaciół darowało te placówki, bądź rządowi polskiemu, bądź instytucjom oświatowym. Fundacje te będą trwałym pomnikiem ich działalności. Tak otrzymuje Polska: szkołę rolniczą w Kołpinie pod Brześciem, szkołę zawodową dla dziewcząt w Kobryniu, ośrodek wykształcenia rolniczego w Homlu oraz

fundusz na budowę szkoły powszechnej w Krywlinie, wsi, która jest, jednym wielkim warsztatem hafciarskim.

Kilkanaście stypendjów dla uczniów i uczennic szkół rolniczych dopełnia pięknego spadku „Przyjaciół“ w Polsce.

Widząc rosnący dobrobyt na ziemiach, którym sami pomogli do wydzwignięcia się z najstraszniejszego upadku i zniszczenia wojennego — „Przyjaciele“ uznali sercem radosnym, iż mogą odejść. Zrobili, „co do nich należało“, co nałożyli na siebie, jako wspaniałe obowiązek ludzki i chrześcijański. Amerykańska misja już przed kilku laty zlikwidowała swą akcję, angielska dotrwała do chwili niedawnej. Żegnano ją w gronie organizacji pacyfistycznych w Warszawie z głębokim wzruszeniem, bo wspaniała oddała przysługę naszemu i swojemu Narodowi — swym czynem miłości.

KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

KONIEC PŁACZĄCEGO PTAKA

*Uważajcie, nie straszcie, nie trąćcie
Ptaka, który na poddaszu mieszka w kącie:
dawniej — w młodości pono —
miał na dole klatkę złoconą.
Szkoda było klatki i Ptaka,
bo po nocach i dniach całych płakał,
bał się własnego cienia,
grzechu, czy wyrzutów sumienia...
Piórka najeżał,
dziobem uderzał...*

*Odkąd Domu wewnątrz szczęścia pełne,
urwił na poddaszu gniazdo z wełny,
z mysiej sierści, sorwanych lotek,
z nici żółtych, czarnych, złotych...
Przez okrągłe okienka wygląda ze strychu,
kwili nieraz, kwili, ale pocichu.
Zaglądają z drzew wysokich czarne wrony,
czy czasami w świat wylecieć — nie skłonny?
Ale nic mu nie brak tutaj — od gwiazd do robaka —
i taki jest uśmiechnięty koniec Płaczącego Ptaka.*



HERMINJA NAGLEROWA

39)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Rzucił te service'y i biegł dalej, zatraskując drzwi za swoją wieścią. Jutro rankiem może będzie radość, może zdziwienie, a może panika na mieście, ale dziś chwyci to w swoje szczęki linotyp, przeżuje, wycharczy. Tyle tylko, że czyjeś uważne ręce wystukują słowa na klawiszach, a Wawar mozoli się nad krzykliwym, wyzywającym tytułem. Wtedy już najważniejszą robotę spełniały grube, tłustą czernią spływające czcionki. Wawar mówił donośnie: „Stu pięćdziesięciu ludzi zabitych! Straszna katastrofa w kopalni węgla!“, a linotypy klaskały, nito grad, bijący w blaszany dach. Dym papierosów zasiniał powietrze, lepkie od zapachu farby; brudne, luskowate ręce chłopaka zjawiały się przed oczyma; cień na ścianie wykreślał się kształtem jakichś nieznanych łądów, a z pomieszanego gwaru wydobywało się, niby solowy pomruk basu z orkiestry, wołanie metrapaży o korektę.

Niekiedy przychodził ktoś z redakcji i błakał się wśród tej pracy, prawie psując ją swoim zanadto jaszkrawym, wypoczętym głosem, a choćby i nazbyt białym kołnierzykiem. Tak właśnie po każdej premierze wpadał tu pachnący Konrad i z wielkimi fumami wiecznem piórem pisywał recenzje. Ledwie sobie przypomniał Franka, tak bardzo był już obrosły sławą, niby wilk futrem. Binoklami rzucał blaski i zlekka przywabiał Wawara, jemu jedynie powierzając intymne sądy o premierze. Metrapaży i zecerów obdarowywał papierosami i tak się nieznośnie pozował, jakgdyby naprawdę budził zachwyt w sercach maluczkich. Rozdawał uśmiechy, nito primabalerina, nie widząc wesołych drwin Cieślaka, Różańskiego, a choćby nawet samego metrapaży, który szerniałemi zębami śmiał się do świecącej kolumny, niby dziewczyna do blasku lustra.

Wawar mawiał o Konradzie: — błazen! — ale mimo to jakieś mu prawil uprzejmości, jakoś się mizdrzył w ukłonach.

— Trzeba z nim dobrze żyć — wyjaśniał zdziwionej minie Franka — ma stosunki i tu i tam. Może się mnie przydać, lwowskiemu przybłędzie.

Przez Konrada właśnie wszedł Wawar do grupy „Nowej Sztuki“ i wielce to sobie cenil.

— Nie myśl, że jestem spryciarz, ale któż to się o mnie zatroszczy, gdy będę sam. Dziś tylko w grupie, tylko razem. Zapuszczam korzenie w warszawską glebę.

Często, gdy w drukarni robota zelżała, szli do małej restauracji na rozgrzewkę. Przysiadali się do stolika zecerów, których tu bawił Cieślak kawałami.

Już sama twarz zecera, niby ugnieciona z plasteliny, budziła wesołość. Żółte, miękkie policzki umiały się wykrzywiać wszelakimi sposobami — od apasza, po „księcia pana“ Cieślak robił rozmaite rasy i typy, mówił dyszkantem, basem, gwarami wszystkich dzielnic. W tej nocnej knajpie, do której się wchodziło przez ciemne, zwałami śniegu sfałdowane podwórze, niewiadomi birbanci spowiadali się każdemu, ktokolwiek chciałby im dać wiarę i rozgrzeszyć z ludzkiej niedoli. Zachodziły tu przeziębłe dziewczki, hazardowali jacyś ponurzy dżentelmeni, zasłaniając się wachlarzem kart, niby kokieteryjne damy, a niekiedy szoferzy w skórzanych kurtkach stawali z szykiem przy bufecie. Coś się tu sekretnie snuło w rudym dymie i w cuchnących wyziewach, i tylko Cieślak mógł tu radośnie ćwierkać, jak wróbel na gnojowisku. Wawar zato sentymentalnie wypijał swoje „czyste“ i z metrapażem rozgadywał się o sprawach tego świata. W chmurnych oczach metrapaży zapalały się blaski, niby w czerwonych kagankach w dzień zaduszny. Franek nie odzywał się ani słowem, wystarczał mu śmiech z cudacznych min Cieślaka. Doprawdy, napełniał się tym śmiechem, jak musującym napojem, i Cieślak już prawie tylko dla niego układał repertuar.

Raz, gdy zecerzy odeszli, przyjaciele zostali jeszcze przy niedojedzonym bigosie. Rozmowy i śmiechy zecerów jeszcze jakby trwały w uszach, ale już brzęk szkła na bufecie stawał się wyraźniejszy, już czyjeś inne głosy podeszły bliżej pełnym sensem. Może się nawet kłócili przy którymś stole, bo niepokój przebiegł salę i spłoszył publiczność. We Franku nerwy drgnęły, jak czuły sejsmograf. Pomyślał: — Będzie awantura! — i odrazu trafił oczyma w „ognisko wstrząsu“. Twarze czerwieniły się, jak płonące główne, odęte policzki pokrył pot świecąca polewą a rozwichrzone głowy pochylały się, niby czoła byków. Ale wnet rozprężyły się karki i kłótnia rozpląnęła się, jak chmura, łagodnym wiatrem rozniesiona po niebie. Franek stwierdził, że taki ugaszony gniew, to energja, która idzie na marne. Bo może właśnie powinni byli swoją kłótnię doprowadzić do końca, aby ustalić przewagę jednego, aby wyjaśnić swoje sprawy? Teraz kłamią sobie w oczy i przypijają do siebie na zgodę, choć nic się nie zmieniło w ich wzajemnym stosunku. Ukryli swój gniew, niby wichry Eolowe w sakwy. Ileż to takich wichrów pochowanych, ile w nim samym przemocy nad sobą?

Powiedział coś na ten temat Wawarowi, który, jak obudzony ze snu, zamrugnął powiekami. Wcale nie

słyszał tej kłótni i nie od razu pojął, do czego zmierzają wnioski Franka. Patrzył mu jednak uparcie w twarz, niby niepojętny uczeń, wysilający swój mózg nad wykładem. Franek jeszcze dowodził, jeszcze szerzej rozwijał swoją myśl, aby ją przystosować do siebie. Mógłby przecież tą swoją skrywaną energją inaczej... Mógłby przynajmniej postawić w domu na swoim.

Wtedy powiedział Wawar:

— Miałem dziś list od Maryny.

Było to tak, jakgdyby chwycił Franka za kołnierz i kazał mu zmienić miejsce: — Nie tu, a tu stań!

— Kaze ciebie pozdrowić. Zawsze o tobie pamięta i przesyła pozdrowienia.

— Jak napiszesz, podziękuj, odkłoń się.

Mówiąc to, już myślał z niepokojem, że jednak ta dziewczyna coś jeszcze znaczy dla przyjaciela. I pewnie dlatego brzmiał głos Wawara, tak nisko, jakgdyby kogoś naśladował, a wzrok jego był jakby oderwany od nieznanym, obcych spraw.

— Ty, słuchaj, co było między wami?

I choć, jak pod rozbłyskiem magnezjowego światła, wszystko uprzytomniło się w pamięci, Franek zaprzeczył:

— Nic!

Wawar milczał, gładząc żrenicą zamglone powietrze knajpy. Ale Franek był jakby naładowany trwogą. Bo może mu nie uwierzył, może znał całą prawdę? — Jeżeli kłamię przyjacielowi, to jaki ja jestem? Ale kłamię przecież dla niego, aby nie był nieszczęśliwy. — Wśród tych myśli można było wirować, jak w kole, bo przecież wcale nie było potrzebne, żeby Wawar przeceniał Marynę. Ani dla niego, ani dla siebie nie było to potrzebne.

— Tak się zastanawiam, tak sobie to rozważam — Wawar rozwlekał słowa wszczep i wzdłuż — tak was sobie oboje ważę. Przyjaciół i kochankę, które z was zasługują na wiarę? Ty masz swoje powody: męskie, honorowe — ironizował — ona swoje: kobiece, przemądre. Sam przyznaj, że niełatwo się zorientować, niełatwo wybrać.

Franek już wiedział, że teraz, w tej chwili przesiła się przyjaźń Wawara i że należy coś powiedzieć dla swojego ratunku, albo przynajmniej odwlec katastrofę. Więc zaczął wykrętnie:

— Nie rozumiem, o czym mówisz?

— Ależ rozumiesz! Konfrontuję ciebie z jej listem.

Zamroczone rozpaczą, Franek godził naoslep. Niepojęte przecież było to, co zrobiła Maryna — może zanadto mściwe, a może aż nazbyt szlachetne, ale w jeden trafiało cel: w Wawara, którego kochał.

— A o innych swoich sprawkach nie ci nie pisała? O księciu Augustcie, na przykład.

Oczy Wawara podeszły blisko, niemal dotykały rzesami policzków Franka. Gorącym, wzburzonym szeptem opowiedział Franek wszystko od początku, do końca, prawdziwie, tak, jak było. Niech teraz wybiera, niech go zabije swoją nienawiścią, byleby już wiedział całą prawdę! Dopiero, gdy ujrzał twarz Wawara zieloną, jak u topielca, przestał mówić. Bo jakże mu teraz całym swoim sercem, całą krwią, aż czarną od gniewu, dopomóc? jak się z nim podzielić swoją siłą, kiedy tak wędnie i zamiera w jego oczach? Chyba znowu kłamstwem, odwołaniem, pohańbieniem siebie? Trzeba, trzeba to uczynić, trzeba wszystko utracić i siebie zatracić. Przecież go kocha i nic nie jest tyle warte, co ta miłość. Dlaczego więc handluje nią, dlaczego ten system zamienny: ja ciebie, ale zato ty mnie musisz kochać? Lecz natychmias przekonał się, że Wawar nie potrzebuje ani jego serea, ani pomocnego ramienia. Przyjaciel wstał i ostro, służbowo powiedział:

— Idziemy do drukarni!

W parę dni później Wawar rzucił redakcję i wyjechał z Warszawy, nie pożegnawszy się z Frankiem.

— Listy mamy odsyłać do Lwowa, — mówiła właścicielka mieszkania, a jej słowa, jak drapieżne zęby, pogryzły do krwi. Krzyk całej ulicy, krzyk całego miasta był cichym szmerem wobec krzyku serca: przyjacielu, przyjacielu!

XXXVIII.

Zima szła ku Bożemu Narodzeniu krótkimi dniami, zato wydłużała się noc, i Franek prawie nie widywał dziennego światła. Gdy wstawał, już zmierzchało się popołudnie i, od razu w posępne myśli wtulony, rozważał sobie wieczystą noc, samotność, bezpotrzebność. Bo jakiej to sprawie oddawał swój czas i siebie, komu mógł zanieść to, co bezustannie stwarzało się i pragnęło żyć, choćby powierzonym i pojętym słowem? Czasem ktoś podobny mijał na ulicy i obojętną twarzą sprawiał ból, bo przecież tak samo obojętnie minąłby go przyjaciel.

Blady i zaniedbany, jak po ciężkiej chorobie, siedział Franek w drukarni, pisząc magiczne znaki na marginesach wilgotnych i chłodnych, jak jego palce. Ktoś tu inny przynosił teraz zwitki telegramów i starczym głosem kaprysił nad każdym niedopatrzaniem. Raz nawet powiedział głośno:

— Pan przecież nie ma pojęcia o korekcie!

Napewno nie miał teraz Franek o niczym pojęcia i było mu wszystko jedno, czy się to komu podobą, czy nie. Cieślak pouczał go w sekrecie:



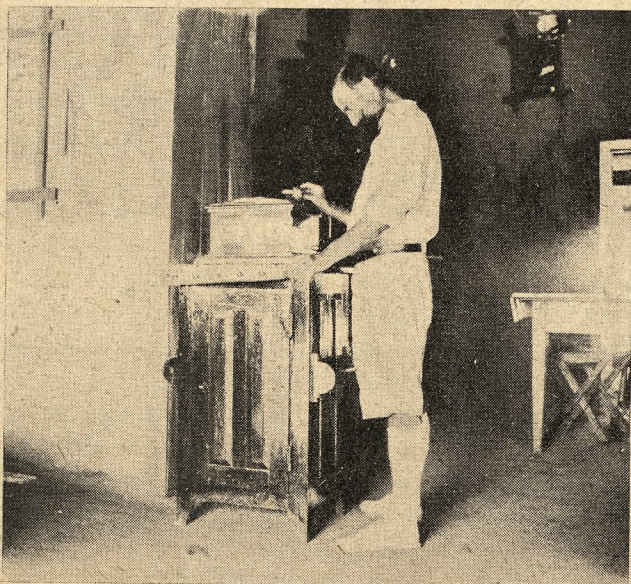
M. H. SZPYRKÓWNA

PUSTYNIA I JEJ ODKRYWCY

Pomiędzy ludźmi cywilizowanymi, tutaj, nawet zdać sprawy sobie nieraz nie możemy, co może i co znaczy każdy przyczynek do kultury, zaniesiony tam, gdzie jeszcze jej nie ma. Bo przecież świat — u nas już sędziwy — gdzieindziej przechodzi dopiero dzieciństwo! I takimi mianowicie dziecięcymi kolebkami ludzkości opiekują się samotnicy, których bohaterstwo jest za mało znane i oceniane, a którym na imię: misjonarze.

Zdaje się, że w żadnym zakresie religja, jakkolwiek jest, nie dowiodła tak znakomicie swego posłannictwa kulturalnego i cywilizacyjnego, jak w tej mianowicie dziedzinie. Misje! Słowo to u nas oznacza co innego, a jednak, mimo to, nie ztraca właściwej swojej treści, którą jest: posłannictwo. Ba! I jakie! Tu nam trudno nawet sobie wyobrazić, jakie prace i w jakich warunkach musi podejmować misjonarz, na przykład w takiej Afryce, gdzie kolosalne przestrzenie, o małym względnie zaludnieniu, ale już liczonem na setki tysięcy w jednym powiecie (prowincji), mają za całą opiekę, pomoc i ucieczkę — jakieś parę zaledwie osób cywilizowanego przedstawicielstwa, i na ich to barkach spoczywa cały ciężar podniesienia tego półzwierzęcego stanu tubylców do poziomu bodaj względnie ludzkiego.

— W naszej prowincji, gdzie mój mąż jest zastępcą rządowym angielskiego imperjum — mówi nasza rodaczka p. Lucyna Doelberg, rzucona przez los w to przedziwne środowisko egzotyizmu — jest około stu pięćdziesięciu tysięcy czarnych, którzy zasadniczo są, oczywiście, poganami, a do niedawna liczyli wśród



To zaś jest chwila rozrywki i najwyższy wykwit cywilizacji w pustyni: gramofon.



Oto lekcja z małymi murzyniętami przed szkołą, żeby było przyjemniej.

swoich plemion i szczepy ludożercze. Dziś rząd angielski wszystkimi możliwymi środkami cywilizacyjnymi usiłuje tę przynajmniej straszliwą plagę ludzkości wytępić, i z dobrym skutkiem: w ostatnich kilkunastu latach zdarzył się już tylko jeden wypadek w stosunku do białego człowieka.

— W jaki sposób z tem można walczyć? Okrucieństwem? Łagodnością? Siłą?

— Okrucieństwem — nigdy! Użycie broni palnej w stosunku do krajowca jest najsurowiej zakazane, aż do granic ostatecznej możliwości. Ale łagodność dla czarnego, to także w tych wypadkach pomysł nieprodukcyjny. Zwykle otacza się wieś, której mieszkańcy zawczasu już naturalnie, uciekają, wiedząc, co się święci, i pali się ją tak, aby znikł wszelki ślad. Naturalnie, przy ich prymitywnem budownictwie, gdzie domy są z gliny lub lepsze z pewnego rodzaju kamienia, a czasem — poprostu ich nie ma: to nieduża strata, ale zawsze przykrość i kłopot dla krajowców, którzy są ogromnie leniwi: muszą wszystko budować zpowrotem. Naturalnie, mężczyźni mniej pracują, niż kobiety: na kobietach leży cały ciężar trudu, nie licząc dzieci.

— A misjonarze w takich plemionach jak są przyjęci?

— Zależy od umiejętności obcowania z czarnymi, która jest umiejętnością nielada! Oczywiście, misjonarze są zaopatrzeni w środki, przemawiające do ciekawości, ciekawości lub zmysłu praktycznego murzynów. I to im narazie toruje drogę. Następnie — czarni wiedzą, że poza jednym samotnym białym stoi potężna armja angielska, która wszelką zbrodnię bę-



Małe murzyniátko wcale nie jest zbyt czarne, zanim je słońce nie osmali.

dzie prześladowała, aż znajdzie i ukarze. Ale głównie jednak gra rolę to, że misjonarz jest ucieczką i ratunkiem w wielu, wielu wypadkach, gdzie krajowiec sobie nie poradzi.

— Pewnie myśli pani i o medycynie?

— Naturalnie, że i to jest bardzo ważne. Żadne sposoby krajowe nie są tak skuteczne, jak zwykła chińska na febrę, ten bicz afrykańskich osiedli. Ukąszenie żmii także ma skutki fatalne, bynajmniej niezawsze przez krajowców uleczalne. Pomoc w ciężkich wypadkach kobiecych, o którą tylekroć uciekają się do mnie, odkąd tam jestem, murzynki, także nie może być lekceważona: są tak prymitywnie okrutne w swoich sposobach zapobiegania ciąży, lub pozbywania się dziecka, że z początku nie mogłam nawet zrozumieć, że coś podobnego istnieć może. Medycyna wogóle miałaby tam szerokie pole do działania. A zwłaszcza, kiedy krajowcy zabawiają się po żniwach i upijają alkoholem własnego wyrobu, nie należy narażać się na żadne kolizje. Wtedy i misjonarze, i my usiłujemy ich nie drażnić żadnym wtrącaniem się w ich obrządki.

— A obrządki te są, oczywiście, pogańskie, wbrew misjonarzom?

— Cóż mogą zrobić misjonarze, jeżeli jest ich naprzykład, jak u nas, dwóch na ogromną ilość dzikich plemion? Jest to Syzyfowa praca! A jednak pełnią ją, jak bohaterowie, i to ci najznakomitsi, bo nikomu nieznani i umierający zwykle na terenie swojej działalności, lub skutkiem pracy na misjach po powrocie do kraju. Słońce afrykańskie przepala ludzi z północy! Dlatego urlopy naszych przedstawicieli rządowych — mego męża również — są aż pięćmiesięczne. Inaczejby nie wytrzymali!

— A misjonarze wytrzymują?

— Także czasem wracają na wypoczynek, ale

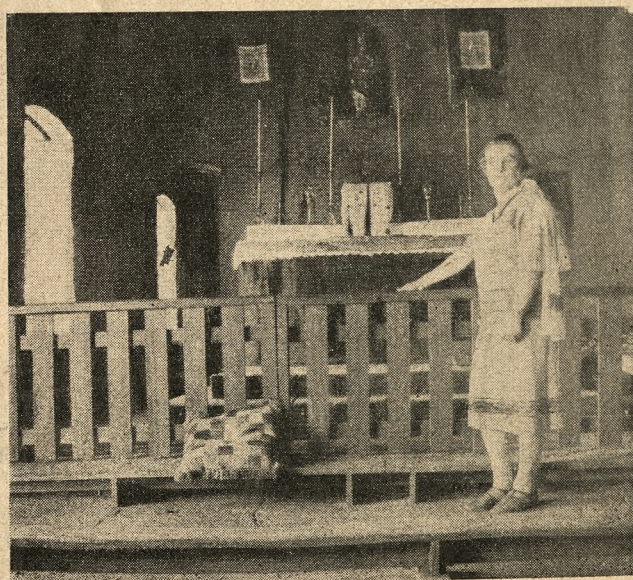
to co innego: oni już się poświęcili na misję. Jest to najdosłowniej misja — posłannictwo szczepienia wiary i ludzkości tam, gdzie o nich niema jeszcze prawie pojęcia. Zakładają szkółki, chrzczą dzieci, każą się jako tako ubierać kobietom i przyokrywają mężczyzn — uczą jakiej takiej przyzwoitości tubylców, nie odróżniających jeszcze zła i dobra, a tem bardziej subtelniejszych odcieni cywilizacji i etyki. Jest to praca mrówcza, budowanie niebosiężnego kopca z małych ziarenek piasku — dzieło cierpliwości, o jakim trudno nawet mieć pojęcie tu, gdzie wszystko jest ułatwione.

— Naprzykład?

— No, naprzykład, szkoła! U nas można uczyć dobrze i za to już zyskać chwałę. A tam — proszę to zrozumieć — jest tylko piasek i nic! Trzeba więc tę szkołę naprzód poprostu zbudować. Kto to robi? Dżicy? Nie mają pojęcia o budowaniu europejskim. Buduje więc misjonarz. Poprostu dźwiga kamienie, cementuje, hebluje, ciosa, sklepia. Jak zwykły robotnik, jak najostatniejszy wyrobnik: w pocie — i to afrykańskim!... czola. Potem — uczy innych, jak mu mają pomagać. Potem dba o znalezienie materiałów, które mu są konieczne, a najbliższe miasto jest o dwa dni lub więcej drogi, i wieźże tu wszystko naszymi drogami, naprzykład podczas pory deszczowej!

— To i Afryka miewa pory deszczowe?

— Och! Moja Afryka, to znaczy — Nigerja, aż nadto miewa! Mamy cztery miesiące deszczów, i wtedy drogi przechodzą dziwne koleje — mosty płyną, tamy są zrywane i wspaniałe skądinąd szosy automobilowe, jakie mamy, są nie do użytku. Trzeba podróżować konno, albo i pieszo, zależy, jak gdzie. Ale to nic nie szkodzi. Bardzo lubię chodzić i wraz z mężem nieraz odrabiamy tyle mil dziennie, że tu w Polsce nawetbym się bała powiedzieć. Tu, w Warszawie, nie mam nigdzie spaceru! Wszystko jest za małe.



...Ojcowie zbudowali nawet kapliczkę, o którą dbamy, jak umiemy.

— No, a naprzykład od Saskiego ogrodu do Mokotowa?

— Dziecinne igraszki! Mieszkam na Mokotowie i nie mi to nie pomaga. Jedyna możliwa — na moje afrykańskie kursy! — trasa, to: Wilanów—Warszawa, tam i zpowrotem! To już starczy.

— Pani się nadaje widocznie także do pracy misyjnej, bodaj z tego powodu.

— Toteż pomagam, jak mogę, naszym ojcom, i jesteśmy w wielkiej przyjaźni. Mąż i ja — to jedyne białe osiedle, w którym mogą usłyszeć gramofon, rozmowę o rzeczach europejskich, przejrzeć gazety, zjeść coś, zrobionego podług naszych zwyczajów i sposobów.

A ile jednak potrafią zdziałać, nie mając żadnej

pomocy, to naprawdę podziw i zdumienie! My tu nie podejrzewamy nawet, co to jest życie, prawdziwie poświęcone innemu człowiekowi, bez nagrody i wdzięczności!

— Ale na fotografii widzę nawet kaplicę?

— A naturalnie! Ojcowie wybudowali, a my przyozdabiamy, jak na to nas tylko stać. Naturalnie, że wszystko to jest prymitywne, ale przecież — jest! To i tak strasznie, prawie nadludzko dużo. Jeżeli wierzę, że człowiek potrafi być właśnie tym zapowiadanym nadczołowiekiem, to nie dzięki filozoficznym dowodzeniom, a dzięki temu, co widzę w pracy misyjnej w Afryce — i jeśli nim będzie, to z pewnością jednak, nie przez filozofję, ale przez największą dźwignię świata: przez miłość!...

W ATMOSFERZE ZAMGLENIA

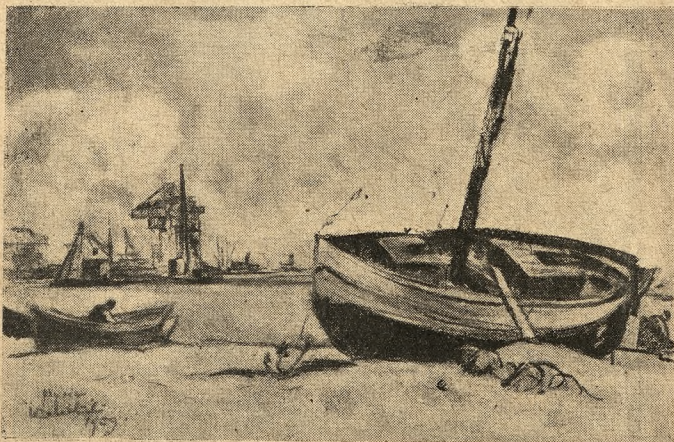
Z wystaw.

Po okresie „gwiazdkowym“ jakoś przycichło w Warszawie życie plastyczne. Kilka nowych wystaw nie należy do gatunku „sensacyjnych“ — ani w złem, ani w dobrem tego słowa znaczeniu. Aura artystyczna dostraja się do kapryśków klimatu: kolorowe lato, oczywiście, gdzieś za górami, a biała, przyzwoita, śnieżysta zima też jakoś niełaskawa... Szaro i nijako.

Największą uwagę przykuć muszą ekspozyty Związku Polskich Artystów Grafików, wystawione w Zachęcie. Tak się stało, że grafika wysunęła się u nas ostatnio na pierwszy plan. Ta sztuka surowa i, jeśli wolno się tak wyrazić — wymagająca — sztuka w zasadzie, z natury swej, nie uznająca półcieni i ćwierćtonów — znalazła sobie u nas właśnie pierwszorzędnych reprezentantów. Kilku wytrawnych majstrów „lat dawnych“ podało tutaj ręce młodemu pokoleniu. W stosunku do grafiki można istotnie mówić o owej „arce między dawnymi i nowymi laty“.

Jest w tym żywym i rzetelnym stosunku młodej sztuki polskiej do tego artystycznego pół-rzemiosła — jakim w zasadzie swej jest grafika — pewien pocieszający kontrast z osławionem „kapryśnym lenistwem“ natury polskiej.

Specjalnych rewelacyj na obecnej wystawie nie pokazano nam, co prawda. W przeciwieństwie do młodego stowarzyszenia „Ryt“, którego prace idą w kierunku nowoczesnych poszukiwań fakturowych, traktując poszczególne elementy płaszczyzny: plamy czarno-białe, względnie kolorowane, jako środki do osiągnięcia pewnego dynamizmu kompozycji — artyści ze „Związku Grafików“ wychodzą przeważnie z założenia statycznego. Są to w większości zlekka stylizowane „odbicia rzeczywistości“, pod względem formalnym będące wyrazem poszukiwania łagodnej równowagi wśród tradycyjnej graficznej „walki czarnego i białego“.



Z Salonu Garlińskiego. Waclaw Zaboklicki: „Widok z portu w Gdyni“.



Waclaw Zaboklicki: „Śpichlerz w Bydgoszczy“.



Z wystawy w Zachęcie. Pia Górka: „Trzej królowie”.

Wymienić należy akwaforty *Cieślowskiego* (syna), świetne pod względem techniki fantastyczne prace *Mrożewskiego*, bardzo kulturalne akwaforty *Herzafa*, ekspresjonizujące poszukiwania *Wolskiej-Berezowskiej*, drzeworyty kolorowe *Duninówny*, grafiki *Stankiewiczówny*.

Lecz największą ozdobą tej sali — jak to zresztą stałoby się na każdej innej, na najwyższą miarę, wystawie europejskiej — są bezkonkurencyjne, wiecznie niedoścignione, pejzaże *Wyczółkowskiego*. Najwyższa klasa. Staże się przed takim jakimś — umianym chyba przez każdego z nas napamięć — czarnobiałym lasem — i człowiek się zapamiętuje, zapomina o wszelkich formułach, kanonach...

Nie dlatego, że ze ściany uderza na widza prawdę, bez jakichś pretensjonalnych symbolizmów — dusza lasu. I nie dlatego, że pod względem formalnym każda z tych plansz stanowi ową „metafizyczną jedność w wielości”, do których nic dodać, ani odjąć nie można, a o których marzy St. Ign. Witkiewicz; dlatego, że jest tu jeszcze jakaś reszta, ta reszta, która objawia się tak niesłychanie rzadko w naturze i uczy nas nieprzeczuwanych rzeczy o nas samych, albo objawia się w dziele sztuki i w błyskawicznym skrócie ukazuje zazdrośnie strzeżone tajemnice natury.

Poza grafiką mamy w Zachęcie również wystawę jubileuszową *Axentowicza*. Pastele tego malarza, ogromnie subtelne częstokroć w swych „niedopowiedzeniach” kolorystycznych, rażą nieraz banalnością zestawień i „cukierkowatością” wyrazu. *Axentowicz*, wbrew swym możliwościom, poszedł drogą najmniejszego oporu. A że możliwości jego były duże, o tem świadczą chociażby dwa portrety olejne z 1882 r., mocne w formie, doskonale związane barwnie, odznaczające się zdecydowanym wyczuciem wartości każdej poszczególnej plamy i dyskretnymi zestawieniami.

Studja portretowe i kompozycje *Pii Górskiej* mówią o dużej pracy rozwojowej artystki. Uderza różni-

ca w traktowaniu materiału: płótna i farby olejnej — w pracach dawniejszych i pochodzących z ostatnich czasów. Gdy przedtem dla artystki najważniejsza była pewna „prawda wewnętrzna”, którą pragnęła wyrazić, przeważnie symbolicznie, z charakterystycznym lekceważeniem *środków* tego wyrazu — dziś przejawia się w tych subtelnie pomyślanych głowach świętych — znaczne opanowanie formy, wyczucie charakteru farby olejnej. *Pia Górka* operuje przeważnie zestawieniami kontrastowymi, formę klasycyzuje, jak się zdaje, świadomie.

Ekspozaty artysty węgierskiego, p. *Hubay'a* — stoją na poziomie dość niskim. Są to przeważnie portrety, odznaczające się dziwnie płytkim i martwym traktowaniem płaszczyzny barwnej, oraz banalnością, a właściwie brakiem jakiegokolwiek ekspresji.

W salonie *Czesława Garlińskiego* wystawia zbiór pejzaży p. *Wacław Żaboklicki*, artysta kulturalny, nie operujący szeroką skalą tonów, lecz zestawiający je umiejętnie i z pełnym poczuciem „odpowiedzialności”, jeśli tak wolno się wyrazić, za każdą plamę. Te pejzaże są zlekka „melancholicznie przydymione” — dodaje im to zresztą pewnego dyskretnego wdzięku. Przytem dostrajają się w tem, jakieś już rzekli na początku, do ogólnej atmosfery, panującej obecnie w Warszawie. Plastyka jakoś tym razem prześcignęła kalendarz: ma się chwilami wrażenie, że to nie bujny karnawał, a szare dni po środzie *Popielcowej*... I. j.



Z wystawy w Zachęcie: Pia Górka: „Studjum”.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Rywale” — sztuka w 5 aktach M. Andersena i L. Stallingsa; przekład i transkrypcja Jerzego Kossomskiego; reżyserja Karola Borowskiego; dekoracje Stanisława Słimińskiego.

Nareszcie kawał prawdziwej wojny, krwawy ochlap życia, w którym zbydlęcenie przerośnięte jest bohaterstwem, a niskie chucie zwierzęcia krzyżują się błyskawicznie ze wzniosłymi odruchami serca człowieczego, bijącego, jak żywe źródło pod namulem błota.

Zestawienie „Kresu wędrówki” Sheriffa z „Rywalami” wychodzi bezsprzecznie na niekorzyść tych ostatnich „Kres wędrówki” — to typowa „pièce à thèse”, dzieło poety, który zmierza do z góry powziętego celu drogą starannej selekcji efektów, wyeliminowania wszystkiego, co tchnąćby mogło pospolitością, aż do ordynarnych zwrotów żołnierskich włącznie.

Autor „Kresu wędrówki” wybrał sobie umyślnie jeden najokropniejszy odcinek frontu, fragment walki pozycyjnej, ślepy zaulek śmierci, aby na nim wygrać skazańczą symfonię ludzi bezsilnych, zawodowych cywilów, których wydarto przemocą z ich środowiska i którzy biją się wbrew przekonaniu, jedynie dlatego, że są gentlemanami. Są to ofiary nietylko poczucia obowiązku, co konwenansu państwowego: nakaz wewnętrzny każe im być pacyfistami, karność wojskowa czyni z nich posłuszny aparat masowej mordowni. Tragizm tych postaci tkwi w nich samych, w ich duchowym rozłamie, nie w okropnościach wojny. Są to rycerze, bohaterowie — nie! raczej męczennicy, ginący za wroga sobie sprawę.



Scena z „Rywalami” w teatrze Polskim: Junosza - Stępowski w roli kapitana Flagga i Jarkowska jako Żermena.

Inaczej w „Rywalach”. Autorowie ich poszli drogą bardziej przyziemną, postawili sprawę na gruncie realistycznie pojętych przeżyć wojennych. Rozszerzyli ramy obrazu: nietylko front, ale i tyły są terenem rywalizacji dwóch oczajduszów; nietylko w ogniu bojowym, ale w płomieniach alkoholu, w czadzie miłości zmysłowej osmała się rogata dusza żołnierska. Nietylko bój, ale hulanka i swawola, nietylko bohaterstwo, ale i soldateska frontowa. A przytem postacie z „Rywali” — to zawodowi żołdacy, nowocześni kondotjerzy, watażkowie zza Oceanu, którzy nie rozumieją życia bez przygód i wojaczki.

Takie typy awanturników i włóczęgów bez ojczyzny spotykaliśmy niejednokrotnie u Jacka Londona i Conrada, czarowały nas one swym egzotykiem na dystans powieści, — pokazane zbliżka, na scenie, w żywym kontakcie z rzeczywistością, rażą nasz smak estetyczny. Zapomnieliśmy, jakże prędko zaiste! o kozackich odwiedzinach po dworach i wioskach, a przecież ci „rywale”, to rodzeni bracia ukraińskich atamanów, czy esaulów, tylko z pod innej szerokości geograficznej.

Przestańmy już wreszcie traktować wielką wojnę, jako nietykalne „tabu” — podchodzić do wspomnień wojennych według wszelkich przepisów protokołu dyplomatycznego, z należytą rewerencją i ostentacją, jak do przedmiotu kultu. Przecież, na miły Bóg! poza majestatem śmierci i ofiary, poza tragedją kalectwa, sieroctwa i wykołajenia życiowego, istnieje odwrotna strona medalu: zwierzęca woła do życia, instykt samozachowawczy, który każe normalnemu człowiekowi w obliczu niebezpieczeństwa z tem większym rozpasaniem szukać rozkoszy, wyladowywać nadmiar sił żywotnych, każdym drgnieniem swego silnego, zdrowego ciała zaprzeczać śmierci, stwierdzać swe prawo do życia.

„Rywale” są właśnie taką gloryfikacją instyktu, pierwotnych podświadomych nurtów psychiki i fizjologii ludzkiej, które przychodzą do głosu w atmosferze frontowej barbarji. Zapewne takie odarcie twarzy z maski, takie obnażenie człowieka, który przywykł swoją zwierzęcość przykrywać dobrze skrojonym frenczem, nie należy do operacji estetycznych. Ale trudno! wojna nie jest sielanką, a okopy — salonem. Natomiast momenty, kiedy w tej ludzkiej kniei człowiek przestaje być człowiekiem wilkiem, a zaczyna być bratem, mają akcenty istotnej wzniosłości bez patosu (rozwiązanie końcowe konfliktu rywali).

Raz jeden autorzy sztuki uczynili próbę porzucenia podłoża czysto realistycznego i przeniesienia się na grunt ideologiczny. Stało się to mianowicie wtedy, gdy Żermena, ot, takie sobie przeciętne zwierzątko o nieprzeciętnym temperamentem, zerujące na popędach żołnierskich, urasta nagle do uniwersalistycznych rozmiarów kobiecości wojennej, do symbolicznej Madelon, która kocha „wszystkich żołnierzy”, bo „wszyscy są nie-szczęśliwi”. — Ten patetyczny akord zabrzmiał fałszywie i trwałnie, jakby ktoś hymn narodowy zagrał na harmonijce. Wypad w krainę ideału skończył się sromotną porażką. Wyróżając się nieco po żołniersku, autorzy załgali się ze szczętem.

To ustępstwo na rzecz popularnych komunałów literackich nikomu się na nic nie przydało. Sztuka bierze nie dętymi basłami filmowemi, ale solidną ciesielską robotą, na której znać ciężką rękę jankesa. I tu tkwi źródło odrębności i świeżości sztuki.

Remarque w powieści „Na zachodzie bez zmian” genialnie odmalował psychikę narodu, który przegrał wojnę; bohaterowie Sheriffa w „Kresie wędrówki” — to rycerze, którzy mogą zwyciężyć, ale muszą zginąć. Takie draby, jak „Rywale”, mogą być zwyciężeni, ale zawsze wygrywają wojnę.

Dwie naczelné role: kapitana Flagga i sierżanta Quirta znalazły idealnych rywali w osobach Junoszy-Stępowskiego i Samborskiego. Imaginacyjne współzawodnictwo tych dwóch świetnych zapaśników przerzuciło się na płaszczyznę artystycz-

nej walki o lepsze. Byliśmy świadkami ciekawego pojedynku dwóch mistrzów.

Wykonawczyni jedynej roli kobiecej, p. Jarkowska, była doskonale ujęta w typie. Jej gardłana, nieco zamazana dykcją, gruby rysunek sylwetki psychicznej znakomicie zestrajały się z żywiołowym temperamentem nowoczesnej markietanki. Krzewiński w epizodycznej roli oberżysty dał małe arcydzieło charakterystyki.

Tempo sztuki właściwe. Reżyserja trafna. Przekład Jerzego Kossowskiego, naogół szczęśliwy, daje kilka niespodzianek w szczegółach („karta“ zamiast „mapa“, „trzymaj pysk“ — zamiast „stul pysk“). Są to drobiazgi, ale i te powinny być usunięte, bo szpecą, jak brodawki na pięknej twarzy. S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

KAZDA KOBIETA POWINNA POPIERAĆ LOTNICTWO
POLSKIE.

W ubiegłym tygodniu wydział propagandowy Ligi Obrony powietrznej i przeciwgazowej zorganizował konferencję, podczas której licznie zebrani przedstawiciele prasy warszawskiej zaznajomieni zostali z działalnością głównego zarządu instytucji.

Nie potrzeba dowodzić, jak niezmiernie ważny jest dla naszego kraju rozwój lotnictwa, zarówno w czasie pokoju, jak na wypadek wojny. Liga Obrony powietrznej nie ustaje w pracy nad organizacją ruchu lotniczego; staraniem jej powstały dwie szkoły mechaników lotniczych, szkoła pilotów, wspaniały instytut aerodynamiczny w Warszawie, obecnie zaś buduje się, kosztem 2 i pół miliona złotych, instytut obrony przeciwgazowej, przeznaczony do szkolenia ludności cywilnej w tej obronie.

Nadto Liga urządza liczne konkursy, loty propagandowe i subwencjonuje konstruktorów, budujących samoloty. W r. zeszłym, np. wybudowana z subwencji L. O. P. P. awjonetka R. W. D. 2 zdobyła światowy rekord wysokości i została uznana za najlepszą w danej chwili konstrukcję tego typu.

Na konferencji referenci Zarządu zwrócili się z specjalnym apelem do prasy kobiecej o poparcie działalności L. O. P. P. I dobrze uczynili. Poza bardzo silnymi wpływami agitacyjnymi, które wywierają kobiety w każdej sprawie dobra publicznego, istnieje nadto strona praktyczna: każda kobieta może z największą łatwością zaoszczędzić ze swych wydatków domowych 50 gr., *wyraźnie tylko pięćdziesiąt groszy na miesiąc*, taka jest bowiem wysokość miesięcznej składki członka Ligi Obrony Powietrznej!

I to jeszcze nie wszystko: członkowie, opłacający tę składkę, korzystają z 20 procent ulgi przy przejazdach na polskich linjach lotniczych. To też można mieć nadzieję, że nie będzie w Polsce domów, którego pani nie złożyłaby tej składki i nie zachęciła do niej innych. Dla tych, którzy mogą pozwolić sobie na odbycie ciekawej podróży, organizuje L. O. P. P. w pierwszych dniach lutego pięciodniową wycieczkę samolotem do Wiednia. Koszt z kompletnym utrzymaniem, mieszkaniem i paszportem — 350 zł., lub, dla chcących korzystać tylko z przejazdu i paszportu — 190 zł.

Popierajmy więc tę instytucję, jedną z najpożyteczniejszych w kraju. Składki przyjmują wszystkie Kola L. O. P. P. na prowincji, w każdym mieście i miasteczku, w Warszawie Zarz. Główny (Długa 50).

STRZEŻMY MŁODYCH DZIEWCZĄT, WYJEZDZAJĄCYCH
ZAGRANICĘ.

Podług rozporządzenia ministerstwa pracy i opieki społecznej, emigracja kobiet z Polski podlega pewnym ograniczeniom, mianowicie: kobiety, które nie ukończyły 21 lat, mogą emigrować tylko w towarzystwie pełnoletnich krewnych, czy opiekunów, lub też wyjeżdżać do przebywających już na obczyźnie rodziców, męża, lub krewnych, o ile ich obecność tam jest bezsprzecznie stwierdzona. Pozorne to ograniczenie swobody osobistej dziewcząt jest jednak niezmiernie potrzebne, ze względu na niebezpieczeństwo dostania się w ręce handlarzy żywym towarem w czasie podróży, lub po przybyciu na miejsce. Nadto rząd polski ograniczył do minimum pozwolenia dla kobiet samotnych, udających się na roboty rolne do Francji i Niemiec. Robotnicom rolnym, udającym się do Danji, towarzyszy od granicy polskiej delegatka Związku Ziemiaków. Wogóle odnośnie władze starają się o roztoczenie najściślejszej opieki nad młodemi kobietami, udającymi się do robót rolnych, lub na emigrację.

SZEW CZKA OFICEREM LEGJI HONOROWEJ.

Francuzi nie lubią kobiet w polityce i nie chcą zgodzić się na równouprawnienie swych obywaterek, nie wahają się jednak uznać rzetelnej zasługi poszczególnych jednostek. W tych czasach rada miejska Lionu wręczyła krzyż legji honorowej pani Bizolon. Dzielna ta niewiasta jest zawodową szewczką i właścicielką sklepu w Lionie. Posiada, prócz obecnego odznaczenia, jeszcze t. zw. „medal wdzięczności francuskiej“, za działalność w czasie wojny.



Pani Bizolon.

TYLKO DLA CZŁONKIŃ KLUBÓW SPORTOWYCH
I STOWARZYSZEŃ.

Okręgowy Urząd Wychowania Fizycznego organizuje w roku bieżącym następujące kursy sportowe dla kobiet: wstępny kurs szermierki na florecy, kurs dla przodownic lekkiej atletyki, kurs gier ruchowych i zabaw dziecięcych dla przodownic zakładów wychowawczych, oraz kurs dla przodownic gier sportowych. Zgłoszenia należy kierować do Okr. Urzędu Wych. Fizycznego (Przejazd 15) za pośrednictwem zarządów Stowarzyszeń i Klubów sportowych, do których należą kandydatki. Członkinie stowarzyszeń, prowadzących u siebie świetlice dla młodzieży, przedszkola i t. p. mają pierwszeństwo przyjęcia na kurs gier ruchowych i zabaw. Liczba słuchaczek na kursach ograniczona do 50 — 40 osób.

CZEGO ŻĄDA ZWIĄZEK OBYWATELSKIEJ PRACY KOBIEC.

Zjazd lwowskiego województwa Zw. Obywatelskiej Pracy Kobiet uchwalił zwrócić się do Zarządu głównego Związku o przeprowadzenie następujących spraw: wprowadzenie lekarskich świadczeń przedślubnych dla obojga nowożeńców; uzyskanie inspektorek pracy na terenie każdego województwa; utworzenie kobiecej policji obyczajowej we Lwowie.

NAJLEPSZA STRZELCZYNI W AMERYCE.

Na konkursie narodowym strzeleckim w amerykańskim Toledo w stanie Ohio pierwszą nagrodę uzyskała 15 letnia dziewczynka, Arlyne Nrown, za celność strzałów z rewolweru. Małą szampionkę uwieńczył wódz szczepu indyjskiego, nadając jej tytuł „księżniczki orle oczy”.



„Księżniczka Orle Oczy”.



Piękność egipska z przed trzech i pół tysiąca lat.

PIĘKNOŚĆ EGIPSKA Z PRZED TRZECH I PÓŁ TYSIĄCĄ
LAT

Poszukiwania egiptologów angielskich dają ciągle wspaniałe rezultaty, odkrywając coraz nowe skarby z czasów kultury faraonów. Obecnie odnaleziono świeżo wspaniałe grobowce królowej Meryet-Amun, żony Amenhotepa II, z 1447 roku przed Chrystusem. Meryet-Amun zmarła jako młodziutka, bezdzietna kobieta w parę miesięcy po swej koronacji.

LITERATKI WILEŃSKIE O DZIECIACH.

Wileński oddział Związku Obyw. Pracy Kobiet zorganizował ciekawy wieczór literacki: „Dziecko w twórczości literackiej kobiet wileńskich”.

Wiadomo nam, że Wilno znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, iż skupiło się w niem wiele talentów literackich i artystycznych, wśród których wiele pierwszorzędnych talentów kobiecych. Nic też dziwnego, że zrodził się tam pomysł tak żywotnego i głębokiego tematu, jak stosunek twórczości kobiety-literatki do dziecka.

Utwory własne, omawiające psychologję dziecięcą, odczytały panie: Dobaczewska, Masiejewska, (korespondentka „Bluszczu”), Piotrowiczowa, Reuttówna i Romer-Ochenkowska. Zarówno rodzaj utworów, jak i tematów, środowiska i wieku dzieci obejmował szeroką skalę: nowele, opowiadania, studja psychologiczne i pedagogiczne dotyczyły życia dzieci miejskich i wiejskich, szkoły, domu i t. p. Ciekawy pomysł i udatne wykonanie.

O NOWEJ „LINJI“

Zacznę od rzeczy zasadniczej — od paska w stanie. W lecie już widywało się w Warszawie młodziutkie „ryzykantki“, które, ze względu na wyjątkową szczupłość, mogły sobie na tę nowość z łatwością pozwolić. Kiedy jednak zagranicą — w Paryżu i w modnych uzdrowiskach — widziałam ją conajmniej u 8 kobiet na 10, przekonałam się, że podniesienie stanu do właściwej wysokości jest przedewszystkiem zwiastunem... końca uniwersalnej młodości i smukłości, gdyż z tych 8 kobiet zaledwie jedna wyglądała w tem zgrabnie, dwie — możliwie, reszta — fatalnie.

A trzeba wziąć pod uwagę, że osoby, na których prowadziłam swe „studja“ — to nie były drobne mieszczki, ubrane w byle jakie „petites robes“, lecz różnorodny tłum elegantek, w kreacjach z pierwszorzędných paryskich magazynów; bezwątpienia więc „nieawantażowość“ ich sukien nie leży ani w nieumiejętności noszenia ich, ani w złym kroju.

O ile u młodziutkich i bardzo smukłych kobiet pasek w stanie ma pewien specjalny wdzięk, powiedziałabym — sportowy, gdyż podkreśla długość nóg — c. tyle u innych jest tylko... wskaźnikiem wieku i wagi. Każdy rok i każdy kilogram mają tu olbrzymie znaczenie i liczą się podwójnie. Wypukłości i okrągłości, które przy dłuższym stanie wcale nie raziły, przy obecnem wyraźnem wcięciu w pasie urastają do wielkości jakiejś... Kopy Magóry.

W sukniach letnich, z bardzo cienkich materiałów, jakoś to wszystko jeszcze ginęło w licznych, rozwiewających się kloszach i fałdach, ale przy sukniach wełnianych stan w pasie jest naprawdę bardzo deformujący. W dodatku najmodniejsza linja wymaga, ażeby klosz lub fałdy zaczynały się b. nisko, prawie tuż nad kolanami, przyczem suknia musi być dłuższa, niż dotychczas, i na biodrach jaknajbardziej opięta. Cała sylwetka przypomina sylwetkę „przedwojenną“, z wcięciami i wygięciami, z którą — zdawało się — raz na zawsze skończyliśmy i która wywoływała takie wybuchy śmiechu, kiedyśmy ją oglądali przed rokiem w kinie, w umyślnie wskrzeszonym filmie z przed lat dwudziestu.

Jeżeli moda ta się przyjmie, możemy powiedzieć, że prócz względnie krótkiej sukni (i to też tylko na rano), nie umiałyśmy zachować żadnej ze zdobyczy lat ostatnich, ze zdobyczy, dotyczących reformy stroju. Bo skoro wcięcie ma być znów tak wyraźnie zaznaczone i ciężar sukni ma spoczywać, nie jak dotychczas, na ramionach, lecz na biodrach — nie pozostanie nam nic innego, jak... powrót do gorsetu.

Przy modzie, panującej dotychczas, mówiło się, że smukłość jest nieodzowna. To też walczyliśmy o nią w sposób mniej lub więcej przyjemny, zdrowy i skuteczny, byleby tylko osiągnąć lub zachować tę osławioną „linję“. Cóż dopiero będzie się działo teraz, kiedy każdy gram jest dla tej linji naprawdę zabójczy, stokroć bardziej, niż to bywało dotychczas!

Nowa moda nasuwa tylko dwa wnioski: albo jest to wojna, wypowiedziana dzisiejszym „kobietom trzydziestoletnim“ (lepiej nie mówmy o ich prawdziwych latach) przez ich młodsze siostry, i zemsta za to, że przez tyle lat podszywały się pod autentyczną młodość, albo też — „linja“ lekko falista znudziła się i musi ustąpić miejsca innej, bardziej barokowej. Ten drugi wniosek wydaje mi się mniej prawdopodobny,

gdyż jakoś zanadto odskakuje od dzisiejszych pojęć estetycznych, panujących w innych dziedzinach życia.

Entuzjastki nowości utrzymują, że wszystko jest kwestją przyzwyczajenia i ładne jest to, do czego oko już przywykło. Jednakże tak nie jest. W modzie, jak we wszystkim, istnieją pewne kryteria piękna. Jeżeli spojrzymy na mody z ubiegłych wieków, a choćby dziesiątków lat, łatwo się o tem przekonamy. Współczesne oko jest równie nieprzywykłe do tiuniki greckiej, jak do tiurniury; jednakże tiunika daje mu estetyczne zadowolenie, podczas gdy tiurniura wydaje się potwornością. Tak samo łatwo jest znaleźć w sukni empirowej szlachetność linji, której napróżno szukałoby się w krynolinie.

Kto wie, czy to niewinne napozór podniesienie stanu i zaznaczenie t. zw. „talji“ nie grozi jakimiś poważnemi konsekwencjami w dziedzinie estetyki i higieny stroju. W każdym razie jest w tem już pewne załamanie...

Charakterystyczne jest to, że sylwetki tych pań, które mają odwagę przeciwstawić się nowej modzie (nie sędzę, żeby właścicielka Rolls-Royce'a, lub Hispano-Suizy paradowała w zeszlórocznych tualetach), ciągle są jeszcze miłe dla oka, które powinno być już przyzwyczajone raczej do nowej linji. Wyobrażam sobie, że u nas, gdzie moda stosowana jest schematycznie i indywidualne odchylenia od „dernier cri“ uważane są prawie za wykroczenia, takich „odważnych“ pań znajdzie się niewiele.

Wobec tych rzeczy zasadniczych, nie rozwodzę się już nad innymi; uważam je za mniej ważne, gdyż są tylko sezonowym kaprysem mody, któremu można się poddać, lub oprzeć. Tak więc, po kolorze „banana“ przyszła kolej na „vert-bouteille“ i „dahlia“; po deseniowych żorzetach i crêpe chiffonach, wzorzyste motywy przeniosły się na velours'y i crêpe-satin (crêpe-satin imprimé). Ale — powtarzam — kolor i deseń można odrzucić, zależnie od tego, czy komu w tem „do twarzy“. A jak tu walczyć z „nową linją“?!

Na szczęście, suknie wieczorowe i balowe nie uległy jeszcze całkowicie jej terrorowi. Zarówno w zestawieniu barw, rodzaju materiałów i fasonów, zostawiają pełne pole fantazji swych twórców. Są jednocześnie długie i krótkie, szerokie i wąskie, złożone z draperyj, falban, trenów, lub ozdobione olbrzymiemi kokardami. W takiej sukni można być podobną do kwiatu i motyla, można być „vamp'em“, boginią i aniołem.

Jeszcze kilka słów należy poświęcić fryzurom, tembardziej, że coraz częściej „straszą“ nas powrotem mody długich włosów. A więc francuzki ciągle jeszcze wierne są krótkim włosom, pomimo „złego przykładu“ swych zaoceanicznych siostr, które zwijają włosy w małe węzłki tuż nad karkiem i mało je ondulują, co nadaje głowie wygląd bardzo negligowy i nie robi „do twarzy“. W Niemczech widzi się dużo włosów pół-długich (à la Greta Garbo i Brygida Helm). Ale to, co miało być tylko stadjum przejściowem, stało się ostatniem i — jak mnie informował fryzjer — o ile klientka nie wraca do włosów zupełnie krótkich, napewno dłuższych nie zapuszcza.

Tak więc na tym froncie walka będzie trudniejsza i chyba nieprędko będziemy świadkami nowego przewrotu w dziedzinie fryzur. Dla kontynentu najwyższą wyrocznią jest jednak ciągle jeszcze Paryż, który jakoś mało sobie robi z anglo-amerykańskiej

mody, zaś paryżance widocznie zbyt dobrze jest z ostrzyżoną czuprynką, żeby miała się jej wyrzec. Ale czy utrzymanie mody krótkich włosów jest zwyczajem kobiety? Mam wrażenie, że raczej — fryzjera paryskiego, który dobrze zna psychikę swych klientek.

Pomimo tylu zdobyczy na najrozmaitszych polach, jednego nie potrafiliśmy sobie wywalczyć: modę ciągle jeszcze tworzy dla nas mężczyzna — wielki krawiec i wielki fryzjer. Czy i z tej niewoli wyzwolimy się kiedy? Może!...

Stefanja Heymanowa.



CZAR KWIATÓW W ZIMIE

Gdy śnieg jeszcze grubą warstwą ziemię okrywa, a mróz fantastycznymi deseniami szyby okien naszych zdobi, wewnątrz mieszkania wiosnę mieć możemy. Kosztem minimalnym, odrobiną starań i dobrej woli.

Nie mam tu na myśli kwiatów świeżych w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku, bo wyprodukowanie ich byłoby zbyt kosztowne, i konieczne do tego jest posiadanie cieplarni; a nawet, posiadając ją, niezawsze udaje się wyhodować rośliny piękne, któreby zapłaciły za naszą pieczołowitość.

Tak, jak niema na świecie maszyny, któraby pracować mogła wiecznie, bez odpoczynku i remontu, tak i każda roślina, jako istota żyjąca, wymaga dla siebie choćby niedługiego czasu wytchnienia. Doświadczenia na tem polu wykazały, że gałązki dereńni, ścięte 5 listopada i pędzone w cieplarni, dopiero po 53 dniach nanowo wegetować zaczęły; ścięte 5 grudnia — już po 23 dniach budziły się do życia; zaś ścięte w styczniu — po upływie dwóch tygodni rozkwitały. Im dłużej roślina pozostaje w stanie zupełnego spoczynku, im dłużej wystawiona jest na działanie mrozu, tem szybciej potem się rozwija i piękniej zakwita.

Do takiego pokojowego pędzenia nadają się wszystkie ozdobne krzewy, szczególnie te, których czas kwitnienia normalnego przypada w okresie od maja do końca czerwca. Naturalnie, zaliczyć do nich trzeba i wierzbę, która swemi przemiłymi „bażkami” rok rocznie już wczesną wiosną oczy nasze raduje.

Przy końcu więc stycznia, lub w lutym, ucinamy odpowiednią ilość gałązek niedługich, uważając, abyśmy ich przy przecięciu nie gnietli; a jeżeli to miało miejsce, musimy cięcie jeszcze raz powtórzyć ostrzejszym narzędziem. Długość gałązki zależeć będzie od rodzaju krzewu. Niektóre rośliny, jak np. bez, jaśmin, spirea — osadzają pączki kwiatowe tylko na samym końcu gałązek — te utniemy krótsze; inne zaś, jak jabłonie, czereśnie, wiśnie, śliwy, brać trzeba cokolwiek dłuższe, gdyż zakwitają na całej długości. Przy wyborze gałązek z drzew owocowych, musimy brać gałązki młode, których tkanki jeszcze nie zdrewniały, a pozostały delikatne i wrażliwe na działanie wody i temperatury.

Mając już przygotowane gałązki, staramy się o odpowiednie dla nich wazoniki. W obawie stłuczenia pięknych i kosztownych wazonów szklanych, czy porcelanowych, użyć możemy do tego celu garnuszki

kamienne, gliniane, puszki od konserw, wreszcie zwykłe doniczki, zatkawszy im poprzednio otwór w dnie, aby woda nie przeciekała. Dla łatwiejszego wchłaniania wody przez gałązki, nacinamy je ostrym scyzorykiem, uważać jednak potem musimy, aby nacięcia całkowicie były pod wodą ukryte. Wodę użyć możemy o temperaturze pokojowej, aby jednak wywołać szybszą wegetację, należy ją ogrzać do 35, a nawet 40° C. W każdym wazoniku powinny znajdować się gałązki tylko jednego gatunku, gdyż nie wszystkie równocześnie zakwitają.

Wazoniki, napełnione wodą, z włożeniami w nie gałązkami, wstawiamy do dużej skrzynki, wysłanej czemś w rodzaju flaneli, lub wyłożonej płatkami waty (dno i boki u dołu), poczem skrzynkę przykrywamy wiekiem albo kocem. Skrzynkę tę umieszczamy w najcieplejszym naszym pokoju, blisko pieca, lub kuchni. O ile kto skrzyni takiej nie posiada, może wazoniki umieścić prosto pod stołem kuchennym, konieczne jednak stół ten otoczyć musi jakimś kocem, czy dywanem, dla ciepła i ochrony przed światłem. Dwa razy dziennie spryskujemy rośliny przy pomocy rozpylacza letnią wodą, przyczem paki zaczynają szybciej nabrzmiwać i rozwijać się. Ulatniającą się wodę z wazonów dopełniamy świeżą, zawsze ciepłą. Z chwilą, gdy pączki już nadpękają, ograniczamy zraszanie, a to dlatego, aby je przyzwyczajając do suchszego powietrza pokojowego, w którym nadal rozwijać się będą już bez przykrycia.

Po upływie kilku dni przenosimy wazoniki nasze do najcieplejszego pokoju i umieszczamy je w bliskości okna, w pełnym świetle. Zraszanie początkowo jest jeszcze konieczne, gdyż taka raptowna zmiana szkodziłaby im bardzo. Woda w wazonach musi być stale czysta, zmieniana co 3—4 dni; gałązki trzeba ostrożnie zmywać z zielonego nalotu i nalewać świeżą, ciepłą wodę (30—35° C.). Dobrze jest wrzucić kawałek węgla drzewnego, który wodę oczyszcza. Szybkość zakwitnięcia zależna jest od temperatury pokoju i rodzaju rośliny.

Świeże listki, a jeszcze więcej — kwiatki, wrażliwe są bardzo na działanie kurzu; najlepiej więc na czas zamiatania i sprzątania pokoju wynosić je do innej ubikacji. Szkodliwe dla nich są też przeciągi, a nawet pęd chłodnego powietrza, wpadającego do pokoju przy wietrzeniu. Czas przeniesienia ich można wykorzystać na obfite zroszenie, które w pokoju nie da się tak gruntownie uskutecznić.

Z chwilą rozwinięcia się kwiatów, gałązki mogą być przełożone do wykwintniejszych wazonów i traktowane, jak wszystkie kwiaty cięte. Wodę trzeba im zmieniać częściej i dawać już nie ciepłą, a o temperaturze pokojowej. Dopiero, gdy już przekwitają, możemy im znów wodę cieplejszą, która w tym wypadku ożywia i trochę przedłuża wegetację. Naogół kwiaty, tak wyhodowane, trzymają się długo, dając nam złudzenie wiosny, gdy natura cała pogrążona jest jeszcze w zimowym śnie.

A. D.

Niezbędną pomocą w kompletowaniu wypraw ślubnych jest książka p. t.

„Wyprawa panny młodej“

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa,
Plac Zamkowy 9, Konto P. K. O. 13.555.

Z DZIAŁU HODOWLI DROBIU

W produkcji rolnej kraju, która jest jedną z głównych podstaw naszego bogactwa, ważnym działem jest hodowla drobiu. Ta hodowla drobiu, często jeszcze lekceważona, zarówno w wielkich, jak i w małych gospodarstwach, do niedawna uważana zwykle za deficytową część gospodarki, okazała się jednak jednym ze źródeł dochodów Państwa i w bilansie handlowym sumy, otrzymane za eksport jaj, są bardzo poważną pozycją. Od paru lat dorównują sumom, otrzymywanym za zboże.

Dla przykładu podaję cyfry, notowane za miesiąc październik roku ub. W miesiącu tym wywieźliśmy wszystkich produktów rolnych za sumę 111,2 milj. złotych, a w tem za zboże, mąki i kasze otrzymaliśmy w sumie 17,5 milj. zł., podczas gdy za same jaja kurze — 15,3 milj. zł.

Rocznie otrzymujemy za jaja przeszło 150 milj. zł., a więc choć przy obecnej organizacji rynku zbytu, pozostałe produkty hodowli drobiu nie przedstawiają takiej wartości, należy uznać tę gałąź hodowli bezwzględnie za b. ważną dla gospodarki krajowej, i nie nie usprawiedliwia faktu, że rolnicy ogólnie ją lekceważą. Lekceważenie to mści się na naszych własnych dochodach, suma bowiem 150 milj. zł., jaką osiągamy za eksport jaj, jest o wiele za niska w porównaniu z sumą, jaką powinniśmy otrzymywać.

Przedewszystkiem obecnie przeciętna nieśność naszych kur jest bardzo niska. Umiejętną i racjonalną hodowlą moglibyśmy roczną produkcję każdej nioski zwiększyć blisko w dwójnasób i zamiast produkować, jak to jest obecnie, około 3 miliardów jaj rocznie — produkować i mieć na eksport znacznie większą ilość. Jednak nawet, gdybyśmy mieli produkować tylko te 3 miliardy jaj, ale gdyby nasze gospodynie, które prawie wyłącznie hodowlą kur się zajmują, dbały o jakość i czystość tych jaj, uzyskalibyśmy na rynkach znacznie lepsze ceny. Obecnie, według notowań na rynku londyńskim, w ubiegłym miesiącu ceny jaj polskich zajmowały 10-te miejsce w porównaniu z cenami jaj, wyprodukowanych w innych krajach, a tylko chińskie i egipskie były cenione jeszcze niżej od polskich.

Tę niską wartość naszych jaj w znacznym stopniu powoduje to, że są małe, a jednocześnie są brudne.

Dzisiaj, gdy odpowiednie czynniki zwróciły na to uwagę i zajęły się organizacją eksportu jajczarskiego, wprowadzono już szereg przepisów, w celu poprawienia jakości wysyłanego towaru; zarządzenia te jednak tylko wtedy odniosą skutek, jeśli będą poparte sta-

raniem producentów. Hodowcy powinni zrozumieć, że tu ich własne interesy ściśle się zespalają z interesami Państwa. Otrzymywanie wyższych cen zagranicą zapewni dochodowość hodowli drobiu w gospodarstwie.

Doprowadzenie hodowli kur do tego stanu, aby otrzymywać wysoką nieśność, jaja o wadze wyższej ponad 50 gr., wymaga bezwzględnie fachowego przygotowania hodowcy, umiejętności, nieraz większego nakładu kapitału; natomiast produkowanie w gospodarstwie jaj brudnych jest wynikiem tylko niedbalstwa i tą wadliwą cechą, głównie obniżającą wartość naszego towaru, jest w praktyce najłatwiejsza do usunięcia.

Jaj kurzych, przeznaczonych na sprzedaż, nie wolno obmywać: mytych jaj żadna spółdzielnia, ani firma eksportowa nie kupuje; należy więc dbać o to, aby w każdym kurniku, czy też w innym pomieszczeniu, gdzie trzymamy kury, ustawiać gniazda z czystą, suchą słomą. Gniazda robi się ze zwykłych skrzynek lub koszyków tej wielkości, żeby kura swobodnie zmieścić się mogła, wyścieła się słomą, najlepiej owsianką, bo najbardziej miękka, ale nigdy sianem, ani sieczką. Słomę w gniazdach należy bezwzględnie raz na tydzień zmieniać.

Jeśli kury będą miały przygotowane wygodne, czyste gniazda, bardzo łatwo przyuczą się tylko w nich znosić jaja, a nie w brudnych zakamarkach i kątach. Zaoszczędzi to nam pracy wyszukiwania jaj, ułatwi kontrolę niosek, a przedewszystkiem unikniemy jaj w powalanych skorupkach.

W większych hodowlach wszędzie już spotykamy takie gniazda, albo zatraskowe, używane dla dokładnej kontroli nieśności, naogół jednak nie dość zwraca się uwagi na czystość ściółki.

W drobnych gospodarstwach, które są głównymi producentami naszych jaj na eksport, ta kwestja jest zupełnie zaniedbana. Nieodzowna więc jest usilna propaganda i stałe oddziaływanie dla zmiany istniejącego stanu rzeczy. Akcja ta nie może się ograniczyć jedynie do działalności fachowych instruktorów i prelegentów, gdyż ci nie mają możliwości wykazania w praktyce, w jakim stopniu dbanie o czystość w hodowli drobiu zwiększa jej rentowność. Dlatego też propaganda nie tylko słowem, ale i przykładem przedewszystkiem powiększy zyski każdego hodowcy, a dla osiągnięcia zwiększenia wartości ogólnej produkcji krajowej powinna stać się obowiązkiem społecznym wszystkich, którzy przez swe stanowisko lub rodzaj zatrudnienia mogą mieć wpływ na tę sprawę.

Nie potrzeba chyba dodawać, że przedewszystkiem powinny o tem pomyśleć wszystkie inteligentne kobiety, mieszkające lub pracujące na wsi.

Z. Prażmowska.

W dobrze prowadzonym domu nic się zmarnować nie powinno!

KSIAŻKA p. t.

„NIE WYRZUCAJ ODPADKÓW“

uczy zużytkowania tego wszystkiego, co zwykle uważamy za bezwartościowe.

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. 13.555

SŁODKIE PRZYJĘCIE POPOŁUDNIOWE

Narzekamy wszyscy na coraz większy upadek życia towarzyskiego. Nietylko coraz mniej znajomych i przyjaciół bywa w domach rodzinnych: sami członkowie tych rodzin nie umieją w nim spędzić przyjemnie kilku godzin i codziennie uciekają do kina, do kawiarni, do klubu na bridge'a; ostatecznie, zakładają sobie na uszy słuchawki radja, lub puszczają w ruch potwornie skrzeszający głośnik. Rozmowa — zwykła, miła rozmowa towarzyska — poszła w zapomnienie, gdyż mało kto już umiejętnie prowadzić ją potrafi.

I nie chcemy sobie zdać sprawy, nie chcemy się przyznać do tego, że my, gospodynie domu, żony i matki — same temu jesteśmy winne. Tak, my same, przez nieumiejętność zastosowania się do nowych, cięższych, powojennych warunków życiowych, no i trochę przez lenistwo, powstrzymujące nas od kłopotów, nieodłącznych od każdego przyjęcia.

Nie mogąc urządzić — z powodu zwiększonej drożyzny i szczupłych mieszkań — przyjęć wieczornych z siedzącą kolacją i całonocnymi tańcami i kartami, nie chcemy przyjmować wcale i tem pozbawiamy młodzież dorastającą i dorosłą, ale jeszcze w domu rodzinnym mieszkającą, najmielszej zabawy; wypychamy ją poniekąd do kin na sensoryjne, często amoralne obrazy, do dancingów kawiarnianych, o których zbyt dużo niedobrego dałoby się powiedzieć.

Przesadzamy sobie trudności i koszta, połączone z przyjęciem — gdyż zawsze zapatrujemy się na tych z naszych znajomych, którzy największe środki posiadają: lub najwystawniejszy dom prowadzą — co u nas niezawsze idzie w parze. Gdybyśmy sobie stanowczo powiedziały: „wedle stawu grobla“ — i przypominały z własnych przeżyć, że nie tam najlepiej się bawią, gdzie są wspaniałe salony i wystawne przyjęcia, lecz tam, gdzie panuje najserdeczniejsza gościnność i największa dbałość o przyjemność gości, że w polskim domu ściany łatwo się rozszerzają, jeśli tego gospodarze serdecznie zapragną — domy prywatne znowu otworzyłyby swe podwoje, a gospodarze swe gościnne serca na przyjęcie miłych, kochanych gości.

Najprostszą, najłatwiejszą i najtańszą formą przyjęcia jest przyjęcie popołudniowe. Czy nazwiemy je z angielska „five o'clock“, czy czarną kawą, czy poprostu podwieczorkiem — jest rzeczą zupełnie obojętną. Takie przyjęcie, powtarzane perjodycznie — raz na miesiąc, dwa razy, lub co tydzień — nazywamy popolicie „żurkiem“. Trwa ono zwykle krótko — dwie do trzech godzin — i poza podawaną w salonie czy w gabinecie czarną kawą, lub herbatą, jakimiś herbatnikami lub tortem, czasem likierem lub konjakiem do kawy — nic więcej nie wymaga.

Goście na takim „żurku“ przychodzą i wychodzą: jedni bawią godzinę, inni dziesięć minut. „Żurek“ taki jest ogromnym ułatwieniem w stosunkach towarzyskich. Bez określonego dnia i godziny, w których możemy zastać gospodarzy lub przynajmniej gospodynię w domu, któż się odważy jechać z wizytą z placu Mokotowskiego na Pragę, lub z Henrykowa na Żoliborz! Takie perjodyczne „fajfy“ nie potrzebują specjalnych przygotowań, poza kupieniem

lub upieczeniem pewnej ilości ciastek, oraz umiejętnym naparzeniem kawy i herbaty. Pozatem rola gospodyni domu ogranicza się do pilnowania, aby służba każdemu nowoprzybyłemu podała ową herbatę. Elegancka maszynka z kawą, likiery i ciasta, mogą stać w salonie.

Od piątej do siódmej, lub do ósmej przejdzie przez salon kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt osób — które gospodyni powinna między sobą zaznajomić, starać się tak ugrupować, aby każdy miał odpowiednie dla siebie, miłe towarzystwo, i, o ile rozmowa się nie klei, nawiązać ją zręcznie, podając wszelkie aktualne tematy, za wyjątkiem, naturalnie — polityki!

Chcę jednak dzisiaj obszerniej powiedzieć o innej formie popołudniowego przyjęcia: o podwieczorku prozonym, takim, na którym oprócz krótkiej rozmowy towarzyskiej jest przewidywany bridge i konieczne obecnie tańce.

Zależnie od rozmiaru lokalu i zasobów krzesel, naczyń i t. p., zapraszamy wszystkich znajomych, lub też część ich, bardziej do siebie dopasowaną, samych starszych (gdzie są ci starsi?!), lub samą młodzież.

Całe przyjęcie należy tak obmyślić i przygotować, aby jaknajmniej ucierpiało życie codzienne. W tym celu najlepiej wypisać sobie wszystko, co mamy do wykonania, i podzielić na dni parę lub kilka przed przyjęciem. Wszelkie zakupy i obstalunki, wszelkie pieczenie ciast domowych powinno być wykonane najpóźniej w wigilję przyjęcia. Wszelkie przedstawianie mebli, nieuniknione w mniejszym mieszkaniu, uskuteczniamy w dniu zebrania, lecz wczesnym rankiem.

Przy zwykłym niedbalstwie obecnej służby sama pani powinna w wigilję przyjęcia przekonać się, w jakim stanie jest całe potrzebne naczynie, czy serwetki, a nawet fartuszki i czepeczki służby są czyste i dobrze uprasowane.

W najmniejszym nawet, dwupokojowym mieszkaniu jeden pokój przeznaczamy do tańca, ewentualnie do kart lub rozmowy, drugi — do jedzenia. O ile jest trzeci, chociażby nieduży, należy go przeznaczyć na palarnię. Okropny zwyczaj palenia ciągle i wszędzie wprowadziły, niestety, pałace panie. Skoro panie już przy drugiej potrawie obiadu lub kolacji zapalają papierosa, panowie, oczywiście, nie potrzebują pytać o pozwolenie i biesiada kończy się w gęstej atmosferze dymu, psującej smak najwykwintniejszych dań i napojów.

Z mebli należy usunąć przedewszystkiem łóżka i postarać się o jak największą ilość krzesel. W pokoju, przeznaczonym na jadalnię, ustawić na stole głównym jakby rodzaj gustownego, chociaż skromnego bufetu; o ile są tańce, na bocznym stole umieszczamy chłodzące napoje.

A czem mamy przyjąć naszych gości? Przedewszystkiem powinna być czarna kawa, oczywiście, bardzo dobra, kupiona w wilję przyjęcia, aby aromatu nie straciła. Jedyną do niej domieszkę może stanowić kawa figowa, nadająca kolor. Do kawy mogą być likiery, lub nalewki domowe. Nie są one konieczne, lecz jeśli je podajemy, to zwykle w dwóch gatunkach: jeden mocny, jak Benedictine, lub Cointreau sec, drugi — łagodny: Abricotine, Banano i t. p. Nalewki owocowe, domowe, lub krupnik na miodzie wybornie je zastępują. Jeszcze raz jednak powtarzam, że nie są one konieczne. Dla panów do kawy pożą-

dana jest butelka dobrego konjaku. Dobrze, umiejętnie zaparzona herbata, do niej cytryna i pomarańcze, pokrajane w plasterki. Z ciast — dobry tort, piramida ciastek tacowych, keks (zwykle ciastka z cukierni nie są w dobrym tonie).

W karnawale zamiast zwykłych, cały rok używanych ciast, dajemy pączki i faworki. Oba gatunki ciast, oczywiście, najpraktyczniej jest wypiekać w domu; to też faworków innych, niż domowe, podawać nie należy. Co do pączków, to ich robota jest nieco skomplikowana i warto je piec tylko w dużych ilościach. Kilkadziesiąt pączków zawsze lepiej nabyć w cukierni — przynajmniej będą zawsze udane!

Wszelkie owoce, kompoty, cukierki są dodatkami wcale nieobowiązkowymi, a bardzo kosztownymi.

Natomiast bardzo mile widziane jest parę tac z małuszkimi kanapkami „bouchées”. Wiele osób woli je do herbaty od słodkich ciast. Można też zawsze podać jedną paterę ciastek słonych, coraz bardziej wchodzących w użycie.

Z napoi chłodzących należy przygotować przede wszystkim limonjadę cytrynową i żórawinową. Może też być — dosyć obecnie kosztowna — oranżada. O ile środki nasze na to pozwalają — kruszon niezbyt mocny, z krajowego lub lekkiego francuskiego wina.

No, to i wszystko — o ile nasi goście rzeczywiście o ósmej się rozejdą. Zagranicą gospodarze po takim przyjęciu jeszcze idą do teatru, pozostawiając służbie czas do sprzątnięcia naczyń i mieszkania. U nas jest nieco inaczej. Jak się ludzie rozbawią, to zapominają o czasie, a gospodarze tak gościom radzi, że nie czują zmęczenia.

To też przezorna gospodyni zawsze powinna mieć w odwodzie parę tac większych kanapek do późniejszej, nadprogramowej herbaty, a w karnawale jeszcze dobry barszczyk czerwony z pasztecikami czy kulebiakiem, lub zamiast tego dobrą porcję dań narodowych: bigosu czy flaków. W dziewięciu wypadkach na dziesięć taka przezorność okaże się pożyteczną i uchroni od posyłania nocą po wędlawy do najbliższej kawiarni.

W każdym razie należy jeszcze tegoż wieczoru, ewentualnie nocy, odstawić na miejsce meble i policzyc srebro i naczynie — szczególnie, jeżeli mieliśmy obcą, donajętą służbę; nazajutrz zaś gruntownie sprzątnąć mieszkanie z kurzu i — niedopałków.

Pani Elżbieta



PASZTET Z WĄTRÓBKI CIEŁEJ.

Półtora kilo wątróbki cielęcej, dobrze wymoczonej, ociągnąć z błonki, uduścić z 75 deka przeraśniętego boczką, sześcioma dużymi cebulami, paru goździkami, kilkunastu ziarnkami pieprzu i ziela i listkiem. Oddzielnie ugotować 75 deka kartofli w łupinkach, oczyścić je, dopóki gorące. Wszystko to razem przepuścić ze dwa lub nawet trzy razy przez maszynkę, dodając trzy bułeczki (15 deka), wymoczone w mleku lub rosolu. Wbić w to trzy jaja całe, osolić do smaku, dodać nieco tłuczonego, białego pieprzu, otartej skórki cytrynowej, gałki muszkatołowej, kieliszek mocnego wina (madery, węgierskiego i t. p.) i tyle śmietany albo rosolu, aby farsz nie był twardy.

Formę gęsto wyłożyć platkami młodej słoniny, napelnąć farszem, zakryć i ugotować na parze w rondlu, napelnionym wodą do połowy wysokości formy. Gotować około dwóch godzin. Gdy nieco przestygnie, wyrzucić na półmisek i wynieść na chłód. Podawać dopiero w dobie po ugotowaniu. Starannie przyrządzony, nie ustępuje pasztetowi ze zwierzyny. Do niego podawać jakikolwiek, niezbyt ostry, sos majonezowy.

KOTLETY ZE SZPINAKU.

Kilo szpinaku przebrać starannie, zagotować raz w osolonym wrzątku, odcedzić, mocno wycisnąć, ostudzić i przepuścić przez maszynkę do mięsa. Wsypać w to trzy ćwierci szklanki tartej bułeczki, wbić dwa jaja całe, wymieszać dokładnie, osolić, nieco popieprzyć białym pieprzem, lub wsypać na koniec noża utartej gałki muszkatołowej. Dać tej masie postać godzin parę, aby bułeczka dobrze wybrzękła. Formować kotlety, utarzać je w mące, zmieszanej po połowie z tartą bułeczką, i smażyć na bardzo obficie rozpuszczonym maśle roślinnym, lub na fryturze. Podać do nich świeże masło śmietankowe w kulkach, lub biały sos, zaprawiony słodką śmietanką. Można też takimi kotlecikami obłożyć jajecznicę, lub purée kartoflane.

BLINY ROSYJSKIE.

Bliny można robić z mąki pszennej lub hreczanej. — Najsmaczniejsze są, jeśli oba gatunki mąki użyjemy razem. Szklankę mąki pszennej, kruszalki (walcówki) sparzyć szklanką, lub więcej wrzącego mleka, wyrabiać, aż ciasto się stanie gładkie, włożyć dwa deka drożdży, dodać drugie tyle mąki hreczanej i tyle letniego mleka, aby ciasto było gęstsze, niż na naleśniki. Dać dobrze podrosnąć, włożyć dwa żółtka, łyżeczkę soli, wybić powtórnie i dać znów podrosnąć w ciepłe. Nakoniec dodać pianę z ubitych dwóch białek, wymieszać lekko z ciastem, aby nie opadło. Wstawić miskę z ciastem w naczynie z zimną wodą.

Rozpalić na ogniu małe, żelazne patelenki, specjalnie do pieczenia blinów używane, smarować je topionym masłem i piec cienkie bliny, ładnie je z obu stron rumieniąc. Do smarowania patelerek należy przygotować kawałek waty, owinięty szmatką i przywiązany do patyczka — piórko lub pendzelek ze szczeciny pałą się natychmiast po zetknięciu z gorącą patelnią. Bliny należy składać do salaterki, lub metalowej nelsonki z pokrywą i podawać natychmiast po upieczeniu, dopóki są bardzo gorące. Do nich podaje się przede wszystkim w sosjerkach świeże, topione masło i gęsta, najlepszą śmietanę. Przed wojną po-



Praktyczna i niezbędną dla każdej gospodyni

jest książka p. t.

„Zimne przekąski“

Cena 1 zł. 50 gr.

z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZYK” — Warszawa,
Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 13.555.

dawano do nich kawior i siomgę — obecnie zbyt kosztowne. W braku ich można podać śledzie-uliki, dobrze wymoczone i usiekane, zmieszane z dobrą śmietaną, co stanowi wyborny dodatek do blinów.

KOŁDUNY Z LINA.

Dla amatorów potraw oryginalnych podaję tę potrawę. Pół kilo surowego lina, oczyszczonego z ości i skóry, przepuścić przez maszynkę, dodać dwie średnie, utarte na tarce, hiszpańskie cebule, czterdzieści deka śmietankowego masła, pieprzu i soli do smaku, łyżkę utartego majeranku. Wyrobić tę masę doskonale, formować kulki, rozmiaru najmniejszego włoskiego orzecha. Z trzech ćwierci kilo mąki, dwóch żółtek, łyżeczki soli i wody zagnieść ciasto, jak na pierożki, wałkować bardzo cienko, robić kołduny, zaciskać mocno, aby się nie rozpadły. Spuszczać na osolony wrzątek, gotować pięć minut od chwili wypłynięcia. Wyjąć durszlakową łyżką, skropić lekko masłem z rumianą buleczką i podać bardzo gorące.

PASZTET JARSKI.

Pół kilo marchewki, pół kilo brukselki i pół kilo salsefji oczyścić. Salsefję po oskrobaniu namoczyć w wodzie, zakwaszonej octem. Marchewkę i salsefję pokrajać w kostkę tego rozmiaru, co główki brukselki. Ugotować jarzynki, każdą oddzielnie, w osolonej wodzie. Łyżkę masła zasmażyć, nie rumieniając, z łyżką mąki, rozprowadzić półtora szklanką dobrego mleka, lub rzadkiej śmietanki, osolić ten sos; kto lubi, dodać nieco muszkatołowej galki. Wymieszać z jarzynkami, zastudzić. Dwadzieścia deka mąki zagnieść na drobną kaszkę z dziesięcioma deka masła i łyżeczką (od kawy) soli. Dodać tyle wody, aby tę kaszkę połączyć w jednolite ciasto. Rozwałkować cienko. Formę ogniotrwałą, lub głęboki półmisek wysmarować masłem, wysypać buleczką, włożyć jarzynki, układając je w kopułę, przykryć kruchem ciastem, posmarować żółtkiem i wsadzić na kwadrans do średnio gorącego pieca. Oddzielnie podać w sosjerce topione masło, lub biały sos, zaprawiony słodką śmietanką.

SUCHARKI BEZ DROŻDZY I JAJ.

Szklanka śmietany, szklanka cukru-pudru, trzy szklanki mąki, łyżka masła, pół łyżeczki (od herbaty) soli i pół paczki proszku do pieczenia „Luba“. Według gustu dodać dla zapachu cal wanilji, utłuczonej z cukrem, lub trochę skórki cytrynowej, otartej na tarce. Zagnieść to wszystko razem, wyrobić doskonale, dać postać z godzinę. Zrobić długi, wąski chlebek, upiec w średnio gorącym piecu. Gdy się dobrze zrumieni, dać dobrze wystygnać, poczem dopiero krajać ostrym nożem na cienkie sucharki. Ułożyć ponownie na blasze i wstawić w piec, aby się lekko zrumieniły i podeschły.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Aby zużytkować pozostałe odpadki od mydeł toaletowych, trzeba rozgrzać je na parze aż do zupełnego zmiękczenia. Poczem ugniatać je ściśle w formkach, lub pudełkach blaszanych, wysuszyć, wyjąć i używać do mycia.

Aby majonez napewno się udał, oddzielić dokładnie żółtka do kubka i zalać trochę wrzącego octu, mieszając szybko. Następnie postępować, jak zwykle, a majonez nigdy się nie zwarzy.

KORESPONDENCJE

Pani J. G. — Augustów. — Miarek do kroju nie mamy; niech Sz. Pani zwróci się do szkoły kroju p. Lewańskiego: Al. Jerozolimskie 7.

Pani B. K. — Chrzanów. — Konkurs naznaczony jest na rok bieżący, dużo zatem ma Sz. Pani czasu do wzięcia w nim udziału.

Pani J. Cz.—Żabiczyn. —Kardy, obgotowane w osolonym ukropie, zaciśnięte cytryną, obciągnąć ze skórki, pokrajać w paski długości palca, zalać mocnym rosółem, podłożyć kawałki młodej słoninki niesolonej ze skórką i dusić, aż będą miękkie. Na dogotowaniu wlać łyżkę dobrego buljonu i parę łyżek madery, sos zaciągnąć lekko i podać. Można również po odparzeniu ugotować kardy w wodzie z solą i cukrem, jak szparagi, i podać odcedzone z masłem i buleczką.

Pani H. N. — Potrzebowo. — Najszybciej radzę Sz. Pani oddać córkę do Pniew (woj. Poznańskie), gdzie pod każdym względem skorzysta bardzo wiele. Ze względu na miejsce zamieszkania Sz. Pani, nie wiem, czy adresy warszawskie byłyby Sz. Pani potrzebne; sądzę zresztą, że po zapoznaniu się z programem Pniew, zadowolni on Sz. Panią w zupełności; w przeciwnym razie adresy szkół warszawskich chętnie nadesłamy.

Pani Z. B. — Bolechów. — W kwestji wspomnianej niech Sz. Pani zwróci się do Ministerstwa Oświaty: Bagatela 12 — w Warszawie.

Pani Fr. B. — Szczukocice. — Niech Sz. Pani zwróci się do szkoły zawodowej rękodzielniczej (Dolna 12, Warszawa — Mokotów), lub do szkoły robót Pani Onichimowskiej (Krucza 19, w Warszawie).

Pani G. K. — Bydgoszcz. — Jedyńie przy wzorowej czystości i wielkiej cierpliwości można wytepić te wstrętne robaki. Częste trzepanie i wietrzenie pościeli, skrapianie jej płynem „Flit“, napuszczanie szpar w łózkach spirytusem denaturowanym, nalany na pieprz turecki, może z czasem pomóc. Jeżeli jednak są w murach, niema na nie lekarstwa. — Inne zapytania przekazaliśmy „Kulturze Ciała“.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

O czym mówić.

Ponieważ w „Naszej Mównicy“ od dłuższego czasu omawiane są sprawy szczęśliwego pożycia małżeńskiego, pragnę i ja zabrać głos w tej kwestji. Wprawdzie moje szanowne przedmówczynie oświetlały ją z innej strony — podziału pracy domowej między małżonkami, ale myślę, że ta ważna dziedzina życia wymaga wszechstronnej dyskusji, i dlatego chcę dorzucić parę własnych uwag, choć z innego punktu widzenia.

Czy też zastanawialiście się panie kiedy nad tem, o czym rozmawiacie ze swoim mężem?

Widzę już zdziwienie na Waszych twarzach.

Jakto, o czym? No, o wszystkim: rodzinie, domu, interesach, sprawach ogólnych, tematów nie zbraknie.

Pozornie, rzecz zupełnie naturalna; ja twierdzę jednak, że tak prosto się to nie przedstawia, a dużo, wierzyć mi, od tego zależy.

Czytałam kiedyś nowelkę, nie pamiętam autora, ani szczegółów, ale treścią jej było, że żona, wiedząc, iż mąż będzie wieczorem w domu, namyśla się poważnie, o czymby z nim porozmawiać i... nie wie, jak wybrnąć z tego dylematu. Sprawy domowe? nudne; dzieci? właśnie jedno dostało zły stopień i lepiej o tem raczej nie zaczynać; znajomi? — mąż ma antypatję do jej przyjaciółek; wyjazd na letnisko? to go tylko zirytuje i tak dalej, żaden z tematów nie wytrzymuje krytyki.

Wówczas, dużo lat temu, nowelka ta wydała mi się przesadzona, dziś widzę, że małżeństw, nie umiejących rozmawiać ze sobą, jest legjon, choć nie wszyscy mężowie są tak niewygodni, jak bohater tamtego opowiadania.

Powie kto może, iż ludzie, zżyci ze sobą, pracujący wspólnie, znajdują nietylko łatwe, ale gorące zainteresowanie we wspólnej rozmowie; a mnie się zdaje, że można odwrócić kwestję i że płytkie paplanie, ciężkie gadanie, lub zgryźliwa krytyka i brak humoru w rozmowie mogą popsuć nawet wspólną pracę.

Czy nie widzimy przykładów tego w stosunkach rodzinnych i koleżeńskich, gdzie ludzie pracują wspólnie, a ileż razy nie znajdują żadnej przyjemności i chęci do rozmowy, gdy partner, lub partnerka nie potrafią zająć i rozweselić.

To samo i w małżeństwie, tylko że dobra, miła rozmowa jest w niem daleko ważniejszym czynnikiem: ma ona być przecież odpoczynkiem po pracy, porozumieniem się w najżywszych zagadnieniach wspólnego życia i ma wypełnić dużą ilość spędzonego wspólnie czasu.

Muszę tu oddać sprawiedliwość mężczyznom, że

pod tym względem stoją wyżej od nas. O ile pan małżonek nie jest zawodowym mrukiem, tonącym w gazecie, lub nie miał nieszczęścia wybrać kobiety specjalnie mało inteligentnej, przychodzi zwykle z miasta, pełen wiadomości, różnych zainteresowań, często anegdotek i chętnie zaczyna ożywioną rozmowę. Czy jednak trafia zawsze na grunt podatny? Dzieje się tak najczęściej wtedy, gdy i żona pracuje i spotykając się przy obiedzie, małżeństwo dzieli się wzajemnie swemi przeżyciami. Nie wystarczy jednak rozmawiać: chodzi o jakość tej rozmowy, bo czasem może ona rozweselić, zachęcić do pracy i stać się podstawą doskonałych czynów, a innym razem poprostu obrzydzić życie.

Trzeba więc uświadomić sobie i zastosować zasadę, że mowa służy nam nie do wypowiedzania wszystkiego, co przez myśl przejdzie, nie do krytyk i żalów, lecz musi być rozumnym dopełnieniem naszego zachowania się, a nawet jego sterem.

Zarzucono dawniej kobietom, że zanudzają męża opowiadaniem o służących, domowych kłopotach i galgankach; dziś zapewne mało jest już takich kobiet, ale na ich pociechę dodam, że nawet i o tem można mówić, zależy tylko, jak. Znam stadło, w którym mąż, wchodząc do domu, zapytuje odrazu: co w gospodarstwie? Żona nie ma zupełnie zwyczaju oszczędzać pana i władcy, wprowadzać go do cichego rajku, w którym wszystko idzie, jak z płatka, ani mowy! Opowiada wszystkie sprawy domowe, złe i dobre, ale robi to tak, że oboje śmieją się, a potem debatują, jak co najlepiej załatwić.

Punkt ten jest bardzo ważny, bo lwią część drobnych nieporozumień domowych wynika właśnie z błędnego pojmowania tej sprawy przez kobiety. Jedne nie mówią nic o kłopotach domowych, w myśl dawnej teorii, że dom tylko do kobiety należy, i robią źle, gdyż mąż staje się w domu obcym; inne mówią za dużo, a zwłaszcza źle, robiąc niepotrzebne tragedje z drobiazgów, przemilczając nieraz rzeczy ważne i wogóle... nudząc.

Mniejwięcej to samo zastosować można do sprawy wychowania dzieci, stosunków rodzinnych i finansowych.

A teraz o rzeczach szerszego znaczenia.

Są tu też różne dawne, pokutujące teoryjki, z którymi chciałabym się rozprawić.

Jedna z nich jest, że mężczyzna, pracujący umysłowo i wyczerpany tą pracą, np. w biurze, redakcji, w szkole lub w polityce, pragnie w domu wypocząć i nie mówić o tem, co nieraz dokuczyło mu cały dzień.

Myślę, że jest to bardzo indywidualne i że dziś

tę samą teorię zastosować można i do kobiety, która częstokroć też pracuje w ten sam sposób. Tu musi grać pierwszorzędną rolę jednakowy poziom umysłowy i wspólność zainteresowań. Nie wierzę, aby mężczyzna, mający inteligentną żonę, nie chciał podzielić się z nią swoim życiem zawodowym, lub politycznym. Natomiast, jeżeli kobieta żąda od niego tylko opowiadania nowinek, intryzek i ploteczek biurowych, czy politycznych, nie dziwnego, że mężczyzna woli mówić w domu o czem innym.

Istnieje natomiast jedna dziedziną, która dawniej, za smutnych czasów niewoli, nie była u nas tak zaniedbana, jak jest dziś, niestety: sztuka, literatura i wiedza. Na palcach policzyć dziś można małżeństwa, które rozmawiają wspólnie o przeczytanych książkach, o nowych wynalazkach i zagadnieniach naukowych, lub, omawiając współczesną sytuację polityczną, potrafią cofnąć się do przykładów historii. Rozmowa taka byłaby dla ludzi o pewnym wykształceniu prawdziwym wycieczką od trosk codziennych i zapłodnieniem umysłu do pracy; znamy przecież naogół te rzeczy, uczyliśmy się ich, lecz nie umiemy zastosować ich w życiu, i zamiast posługiwać się nabytą wiedzą i darami, niesionymi przez nią codziennie, mamy w głowie tylko suchy balast, wietrzejący powoli, gdy do niczego użyć go nie potrafimy.

Miałyby tu ogromne pole do działania kobiety, zwłaszcza nie pracujące zawodowo. Przy dobrem rozłożeniu czasu, każda z nas, nawet najbardziej w domu zajęta, znaleźć może godzinę na przeczytanie książki, przemyślenie ciekawego zagadnienia i wprowadzić te czynniki do rozmowy. Nie stanie wtedy napewno przed zagadnieniem: o czem tu mówić, siedząc w domu wieczorem? — nie będzie w jej domu nudy, milczenia, lub przysłowiowego w rozmowie przelewania z pustego w próżne.

Wierzę głęboko, iż kobieta, która potrafi zainteresować męża rozmową rozumną i ciekawą, wprowadzając do niej we właściwej mierze czynniki osobiste, domowe i ogólne, nie będzie narzekała na swoje położenie i wytworzy między sobą i mężem, a także i dziećmi, nierozzerwalne węzły duchowe.

Wanda Jarecka — Małopolska.

Czy kobieta powinna uchylać się od pracy społecznej? (w odpowiedzi p. Mościckiej z Augustowa).

Myślałam, że wypowiedziawszy się tak szeroko w kwestji, podjętej przez p. Strzelecką, nie poruszę więcej tego tematu. Lecz p. Mościcka w swym liście, umieszczonym w Nr. 2 „Bluszczu“, w tak niezwykły, niepowszedni sposób potraktowała sprawę pracy społecznej kobiet, że mimowoli siadłam do odpowiedzi.

Pierwszą moją myślą po przeczytaniu listu p. Mościckiej było, iż musiała ona niedawno przybyć z Ameryki lub z Anglii, krajów wszelakiej specjalizacji, przepelnionych „fachowcami“ społecznymi, lub, że Augustów dawno rozstrzygnął wszelkie bolączki społeczne, posiada najrozmaitsze społeczne instytucje, zaopatrzone obficie w fachową opiekę, środki mate-

rialne i nawet, o łasko niebios, nie potrzebuje urządzić zbiórek ulicznych.

Drugim skutkiem słów p. Mościckiej były wyrzuty sumienia, jakie natychmiast zaczęły mi mącić spokój, bowiem od tylu lat zajmuję się pracą społeczną, ja, dyletantka, przeciętna paniusia, nie posiadająca w tym kierunku żadnych kwalifikacji fachowych. Ale tu ogromną część winy ponosi p. Marszałek Piłsudski, który, bezwiednie wprawdzie, pchnął mnie na tę drogę. Mocarne Jego barki dźwigają taką moc przeróżnych „win“, że ciężaru jeszcze tej jednej napewno nie odczuja.

Otóż w lutym 1925 roku, przemawiając do nas, żon wojskowych, tak mnie przekonał o konieczności zorganizowania się, że, splakawszy się podczas Jego mowy, natychmiast chwyciłam się tej ciężkiej pracy, w rezultacie czego byłam organizatorką i pierwszą prezeską Koła „Rodziny Wojskowej“ w Częstochowie.

No, a potem, to już poszło, wiadomo: mile zlego początki!

Lecz teraz, po przeczytaniu listu p. Mościckiej, uderzam się w piersi i zapytuję: czy mam partaczyć robotę, którą tylko fachowcy spełniać winni? Obecnie mam kilka rozpoczętych prac: przy organizacji Oddziału Zw. Pracy Ob. Kob., przy budowie pomnika Mickiewicza, w Komitecie P. W. i W. F., nie licząc mniejszych; czy mam je przerwać i „dolożyć wszelkich sił, aby zniechęcić i innych“, kobiety i mężczyzn do tego „bawienia się w pracę“?

Niestety, za duża odległość dzieli mnie od p. Mościckiej, a jakżebym chętnie zaprezentowała jej mój dom (nie wchodzący bynajmniej w kolizję ani z pedagogiką, ani z higieną) i dowiodła naocznie, że przy umiejętnej organizacji i pewnej dozie silnej woli można pogodzić dobrze urządzony dom z pracą pozadomową.

Owszem, przyda się nam wszystkim napomnienie, aby wszelka praca była spełniana „ideowo“, lecz to się odnosi zarówno do mężczyzn, jak i do kobiet, i w dodatku nie rozstrzygnie jeszcze kwestji pracy kobiecej na polu szeroko społecznym. Mamy przecież tylu fachowców, którzy tak „nieideowo“ pracują w swoim fachu, niczem innym poza nim się nie interesując, a jest to ta „wyżej stawiana“ praca zapłacona.

Nie, Szanowne Panie, żarty na stronę! Pracować społecznie (jak ja to rozumiem) nie przestanę, nie przestanę budzić innych kobiet i wciągać ich do tej pracy, która szczególnie w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu tak wiele, tak bardzo wiele stworzyła u nas w kraju. Odebrać nam tę pracę, to to samo, co zabronić człowiekowi oddychać całą pierśią.

Myślę, że p. Strzelecka, która, jak wiem, ogromnie ciężko pracuje społecznie (nie uprawiając, o ile mi wiadomo, tej pracy fachowo), nie chciała być zrozumianą tak, jak p. Mossoczowa i ja ją zrozumialiśmy, ale przekonana jestem, iż jest jeszcze bardziej daleka od takiego pojmowania omawianej kwestji, jak ją pojmuje p. Mościcka.

Co się tyczy „wrogów pracy społecznej kobiet“,

to chociaż się jest nawet głębokim niedowiarkiem z natury, jednak w pewnych wypadkach trzeba mieć zaufanie do twierdzeń osób, inaczej pojmujących tę kwestję.

L. Ch.

I jeszcze o pracy społecznej, (w odpowiedzi p. L. Mościckiej.)

Nie znoszę polemik. Jeżeli jeszcze raz zabieram głos w tej sprawie, to jedynie dlatego, że kwestję pracy społecznej kobiet uważam za rzecz bardzo doniosłą, bardzo trudną do rozwiązania i mającą wiele, wiele ciemnych punktów do oświetlenia i publicznego rozważania.

Widać wyraziłam się nieściśle i pani Mościcka źle mnie zrozumiała. Mówiąc choćby tylko o godzinie czasu, poświęconej tygodniowo pracy społecznej przez każdą z kobiet, nie miałam wcale na myśli, aby w ten sposób dorywczo same prowadziły kursa, odczyty, wykłady, ochronki, bursy, żłobki, sierocińce etc. etc. Nie. Każdy chyba to rozumie, że tu potrzebne są fachowe siły i dodam jeszcze: dobrze płatne przytem, aby mogły należycie prowadzić powierzony sobie dział.

Ale dla zorganizowania tych odczytów, wykładów, kursów, dla założenia, utrzymania, zbudowania tych burs, ochronek, żłobków, sierocińców potrzeba ofiar, wysiłków, pracy, pieniędzy...

I tu właśnie jest miejsce na tę „godzinkę” tygodniowo, poświęconą pracy społecznej, pod której nawalem często uginają się jednostki, daremnie kołacząc o pomoc, zmuszone słuchać drwin na temat zmarnowanego czasu, który lepiej zużywać dla swego domowego ogniska (dlatego, że tam gdzieś, kiedyś paniusie schodziły się, radziły i nic nie zrobiły...), lub nawet wstrętnych insynuacji (dlatego, że tam gdzieś, kiedyś roztrwoniono grosz publiczny).

Tysiące tych niechętnych, drwiących, ospałych, skąpych nazywam. (może zbyt patetycznie) wrogami pracy społecznej.

M. Mossoczoma.

Nasza ankieta gospodarcza.

1) Wszystkie potrzebne zakupy poza tem, co mi wieś dostarcza, staram się załatwiać osobiście.

2) Kupuję u stałych dostawców, gdyż tylko wtenczas mam tę pewność, że kupuję dobrze, bo kupiec liczy się z tem, żeby klientki nie stracić.

3) Nie widzę znaczniejszej różnicy w wyrobach naszych z zagranicznymi, to samo, niestety, można powiedzieć i o cenach.

4) W miejscu obecnego mojego zamieszkania zauważyłam przedewszystkiem brak towarów krajowych, a już zupełnie nie widzi się wyrobów naszego przemysłu ludowego, zalani jesteśmy tandetą niemiecką.

5) Staram się zawsze o wyjaśnienie przyczyny różnych braków, domagam się sprowadzenia towarów krajowych i, jeżeli kupiec do tego się nie dostosuje, przestaję u niego kupować.

6) Zrobiłam spostrzeżenie, że w Poznańskim klient jest pod każdym względem lepiej obsłużony i daleko uprzejmiej traktowany, niż w b. Kongresówce.

7) Sprawunki ważniejsze kupuję zawsze w firmach znanych, do których mam zaufanie.

8) W „Bluszczu” chciałabym widzieć ogłoszenia o dobrych pensjonatach, w większych miastach i w miejscowościach kuracyjnych, następnie o stancjach dla naszych dzieci.

9) Ubrania, obuwie, porcelanę i rzeczy meblowe kupuję tylko w wielkich miastach, bo mam daleko większy wybór i ceny znacznie niższe.

10) Na uwagę specjalną zasługuje fakt, że za dużo kupuje się u żydów i za mało popiera się wyroby własne, na co przedewszystkiem powinny zwrócić uwagę nasze Koła Ziemianek.

B. ziemianka z Kutnowskiego.

1) Wszystkie zakupy, przy których nie zachodzi kwestja wyboru lub oceny towaru, załatwia służąca, inne mąż, lub ja sama.

2) Kupuję u stałych dostawców, czasem za poradą znajomych, ogłoszeniom nie wierzę.

3) Uważam, że wyroby zagraniczne są po większej części przechwalone; niektóre polskie zastępują w zupełności zagraniczne, przewyższają je nawet, wzięwszy pod uwagę niską cenę; ale spotyka się też często polski towar w bardzo lichym gatunku, np. niektóre przybory malarskie, maszyny, maszynki, rowery i t. p.

4) Zauważyłam, że ludność wiejska (mieszkam na wsi) czy to przez skąpstwo, czy przez brak oświecenia pod tym względem, kupuje przeważnie wszelkie towary w najlichszym gatunku i dlatego kupcy nie mogą sprowadzać dobrych gatunków. Pozatem, można się w naszej wsi we wszystko zaopatrzyć.

5) Reklamuję rzadko kiedy: brak mi odwagi.

6) U mniejszych kupców zauważyłam często brak dyskrecji w stosunku do urzędników, którzy są zmuszeni kupować na kredyt, a z powodu nędznej penesji, mimo ucziwości, wypłacić się nie mogą.

7) Ogłoszeniom z zasady nie wierzę, lecz przed ważniejszymi zakupami przekonuję się o wartości towaru sama, jeśli się na nim dobrze znam, lub polegam na opinii poważnych firm; u żydów nigdy nie kupuję.

8) W „Bluszczu” chciałabym czytać ogłoszenia, idące po linii samowystarczalności, informujące o najnowszych zdobyczach, ułatwiających prace domowe i gdzie kupować te przedmioty.

9) Jeśli tylko mogę, kupuję wszystko w Poznaniu, bo dostaję towar pierwszorzędnny, a tańszy, niż na wsi, ale często brak okazji; specjalnie zaś wyjeżdżam po książki, ubranie, meble, przybory do specjalnych robótek i t. p.

10) Pragnęłabym bardzo, aby polskie towarzystwa wydawnicze udostępniły przez intensywną propagandę jaknajszerszym warstwom czasopisma kobiece, poświęcone także modom i robotom, aby wyprzeć z domów polskich niemieckich rywali. Zalewają oni całą Wielkopolskę swojemi krojami, wzorami, tygodnikami, książkami. Szalony popyt zawdzięczają znajomości języka niemieckiego u wielkopolanek, taniości swoich produkcji i reklamie!

Wiemy, że takie czasopisma mówią kobietom mało krytycznym wszystko, więc gotuje się po niemiecku, kupuje się niemieckie włóczki, nici etc., szyje się swoim maleńkim „dirndl-kleidchen”, a jak wygląda „polskość naszych wnętrz”? Meble, firanki, dywany, motywy w robotach żywcem wzięte z Berlina.

Jest to objaw zatrważający. Wydawnictwa polskie powinny wypowiedzieć wojnę niemieckim „Blattom”, wcisnąć się do każdego domu i powiedzieć: myśmy lepsi, bo swoi! i nie pomijać żadnego sposobu reklamy.

Wielką bolączką także jest rozpanoszenie się wełny zagranicznej w polskich firmach. Wszędzie dostanie się rozmaite niemieckie wełny, francuskie, włoskie, tylko nie polskie. A przecież tyle robót z włóczki się robi, więc tyle tysięcy idzie zagranicę. Czy nie dałoby się wpłynąć przez wielkie organizacje kobiece, aby polki tym niemieckim towarom drzwi wskazały, a wielkie firmy, żeby zaprowadziły wełnę polską? Tyle moich uwag; może ktoś powie, że nie mam słuszności; jeśli tak, proszę

mnie przekonać. Zwykle tylko w gronie swoich człowiek się żali i roztrząsa takie bolączki i na tem koniec, ale teraz, zachęcona ankietą gospodarczą w „Bluszczu”, wypowiedziałam się. Szczęśliwa będę, jeśli to wyjdzie na dobre.

Franciszka Tomczakowa — Pięchowo, Wielkopolska.

1) Produkty spożywcze kupuję sama lub służąca: bieliznę, ubranie i t. p. najczęściej z mężem.

2) Kupuję u stałych dostawców, wyłącznie chrześcijan, przygodnie zaś tylko rzeczy drobne. Oglądając wystawy i czytając ogłoszenia, sprawdzam ceny, dowiaduję się o nowych, lepszych źródłach kupna.

3) Uważam wyroby krajowe prawie wszystkie za dobre; jedynie luksusowe jedwabne pończoszki i perfumy wolę francuskie; obuwie polskie jest niezastąpione.

4) W Warszawie, oczywiście, nie brak niczego, nawet na krańcach miasta.

5) Przy kupnie, zauważywszy jakiś brak w towarze, staram się go wyjaśnić. Żądania w miarę możliwości sprzedawca uwzględnia.

6) Dokładność wagi różna, naogół dobra, trzeba jednakże uważać; przy kupnie większej ilości, dokładniejsza. Opakowanie solidne, często estetyczne i nawet bardzo ładne. Traktowanie klientów nie wszędzie dobre, czasem lekceważące; do firmy, tak obsługiwanej, oczywiście drugi raz nie idę. Kredyty są udzielane na t. zw. „raty” na podstawie legitymacji urzędniczej, stowarzyszeniowej i t. p., i gdzie stale biorę, starają się ułatwić mi spłatę rat rozkładaniem ich na dogodny terminy; w razie braku jakiegoś towaru, firma wskazuje mi inne źródła.

7) Ogłoszenia czytam chętnie, lecz zbyt mocno reklamowanych towarów nie lubię; przekonałam się, że tylko w pierwszym okresie są dobre, następnie jakość ich ulega pogorszeniu. Ogłoszenia znanych mi firm o nowym towarze witam z radością.

8) W „Bluszczu” pożądane są ogłoszenia firm „sprawdzonych”, dostarczających towary dobre; chętnie widziałabym ogłoszenia krawcowych (dobrych i względnie tanich), bieliźniarek; firm z nowoczesnymi urządzeniami domowymi i t. p.: książek z dziedziny domowej wiedzy lekarskiej, beletrystyki i wydawnictw dla dzieci.

Matka Wojtusia z Woli

1) Wszystkie zakupy załatwiam sama.

2) U stałych dostawców, przedewszystkiem wiktuały, celem łatwiejszej orientacji przy końcu miesiąca, ile wydatki wyniosły. Gdzie tylko możliwe, żądam dostawy do domu, co w Toruniu jest stosunkowo ułatwione, i zamawiam telefonicznie. Znaczna oszczędność na czasie służby, albo swoim.

3) Mieszkając dotychczas stale zagranicą, widzę wiele korzyści przy wyrobach krajowych, przedewszystkiem ich taniość, co jest jednak względne i wymaga dużego doświadczenia. Wszelkie wyroby apteczne, drogerijne etc. są znakomite i przewyższają swą dobrocią towar np. niemiecki, jeszcze stale u nas naoslep kupowany. Mięso 20 do 50% tańsze, tu w Toruniu nie ustępuje zagranicznemu; wędliny ocale niebo lepsze, zwłaszcza małopolskie i litewskie, które już można obecnie dostać, choć po trochę wyższych cenach, niż miejscowe, stosowane do gustu niemieckiego. Trykotaże krajowe doskonałe, ale nie tanie, to samo obuwie.

4) Brak jedynie specjalności, zwłaszcza w zakresie kulinarnym, ale pomału zapewne będą; natomiast wielka łatwość otrzymania na targu pięknych i delikatnych jarzynek, fasolek, sałaty do grudnia, jarmużu, grzybów, a to z powodu licznych i znakomicie prowadzonych ogrodów w okolicach Torunia. Nasuwa się porównanie z trudnościami w takim np. Lwowie, gdzie podobno mleko jest luksusem nie do zdobycia w zimie...

5) Wszelkie żądania zgłaszam, i wiele poprawek uzyskać można na podstawie doświadczenia z P. W. K.

6) Solidność pod każdym względem, opakowanie odpowiednie, kredyt na książkę do końca miesiąca, w mleczarniach na tydzień.

7) Ogłoszenia i reklamę uważam za podstawę wszelkiego obrotu.

8) W ogłoszeniach „Bluszczu” należałoby uczynić więcej

ruchu pod względem wszelkich przedmiotów, wchodzących w zakres nowożytnego prowadzenia domu, choćby wielokrotnie wspomniane szczytce do węgla: gdzie się o nie zwrócić?

9) Wszystko mniejwięcej konieczne nabyć można na miejscu, tylko, gdy chodzi o wyższą estetykę... buty uważam obecnie za jedynie możliwe do nabycia w Krakowie, podczas gdy Warszawa, niegdyś sławna, pod tym względem fatalnie upadła.

H. L. Sierakowska — Toruń.

1. Ważniejsze zakupy robię sama, drobniejsze załatwiam służącą.

2. Wszelkie zakupy robię u stałych dostawców.

3. Krajowe wyroby są dość dobre, w zupełności zastępują zagraniczne.

4. Mieszkając na prowincji, niektórą garderobę kupuję w Warszawie.

5. Braku towarów, czy przedmiotów, potrzebnych do codziennego użytku, nie widzę.

6. Co się tyczy wagi, opakowania lub innych dokładności, jestem zupełnie zadowolona.

7. Załatwiam wszelkie sprawunki w firmach znanych

8. Choć nie jestem stałą czytelniczką „Bluszczu”, jednak niektóre ogłoszenia podobają mi się.

9. Do stolicy przyjeżdżam po zakupy ubrania.

W. D. — Piotrków.

1. Produkty spożywcze kupuje częściowo służąca, a niektóre ja sama. Pozostałe sprawunki załatwiam sama, lub też mąż mój.

2. Kupuję w kilku sklepach, ale zwykle w tych samych.

3. Kupuję tylko krajowe wyroby, a co do perfum, nie widzę różnicy między naszymi, a zagranicznymi tej samej ceny.

4. Braku towarów do codziennego użytku nie zauważałam. Brakuje czasem dodatków do sukien.

5. Wcale się nie dziwię, że na prowincji nie może być obfitości różnych ozdób do kobiecych ubrań, więc żądań swoich nie zgłaszam.

6. Żadnych braków nie zauważałam.

7. Wyjeżdżam po futra, materiały meblowe, palta gotowe.

Jadwiga Kwiecińska — Piotrków.

O dobry materiał i dobre wykończenie.

Nasza ankietę gospodarczą, poruszająca tak żywotne dla nas, kobiet, kwestje, nasunęła mi myśl, że powinnyśmy także ujawniać te braki, które zauważymy w produktach, lub towarach w porównaniu z zagranicznymi, i to, oprócz reklamacji w sklepie, mówić o tem publicznie, bo kupiec poszczególny sam nie poradzi na to. Mam w tej chwili na myśli bieliznę trykotową, która jest teraz tak noszona. Nie wiem, czy to, co się kupuje u nas, jest zawsze krajowe, bo tego nieraz bardzo trudno dociec, czy też z zagranicy sprowadza się tandetę, ale wiem, że wyroby bieliżniane z trykotów fil d'écosse i jedwabnych są przeważnie marne, a zwłaszcza tak niedbale uszyte, że prosto nosić ich nie można. Weźmy majteczki, tak modne dziś „figi”, lub zwykle, dłuższe: gumka w pasie wciągnięta w obrębek, tak wski, że ani jej wyciągnąć do prania, ani nawlec potem nie sposób: wszystkie szwy, zwłaszcza obrębki, pękają i snują się po pierwszym praniu, a przecież prać trzeba ciągle. A mam wrażenie, że nawet jeśli materiał jest zagraniczny, to szyte są te rzeczy na miejscu i właśnie materiał jest lepszy, a robota niżej krytyki. A nie są to rzeczy tanie. Maleńkie „figi” jedwabne kosztują 10 — 12 złotych, i to tańsze, dłuższe 15 i więcej; fil d'écosse, jeśli dobry gatunek, prawie to samo. Czytałam już, że wiele pań narzeka na te wyroby i słusznie. To samo pończochy jedwabne: jeśli nawet tkanina jest dobra, napewno rozpruje się szew. A jakże te rzeczy są wykończone zagranicą, nie mówię już o Ameryce, ale we Francji, lub w Anglii, gdzie bielizna trykotowa jest bardzo noszona, bardzo wytworna, trwała i doprawdy, prześlicznie uszyta! Dlaczego u nas niema być tak samo? Prosiłabym też o podanie w „Bluszczu” ogłoszeń firmy trykotaży, nie tylko dobrych, ale ładnie i mocno uszytych.

Marja W. — Warszawa.